Rok XII. Kraków, 15 lipca 1928 r. Nr. 3.

Członkowie Sekcji Turystycznej P. T. T. i Sekcji Taternickiej A.Z.S. w Krakowie otrzymują czasopismo bezpł.

TATERNIK

Prenumerata wynosi 5 zł. rocznie, z przesyłką poczt. Zagranicą 1 dolara. Numer pojedyńczy 1 zł.

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

OFICJALNY ORGAN SEKCJI TATERNICKIEJ AKAD. ZWIĄZKU SPORTOWEGO W KRAKOWIE

Wychodzi sześć razy na rok pod redakcją komitetu

Adres Redakcji: dr. Mieczysław Świerz, Zakopane, Dworzec Tatrzański
Adres Administracji: Lwów, ul. Sokola 4, Oddział Lwowski P. T. T.

TREŚĆ:

Administracja „Taternika" uprasza o nadsyłanie dokładnych adresów, celem uregulowania prawidłowej wysyłki pisma. Pożądane jest również podawanie nazwisk i adresów osób, interesujących się turystyką wysokogórską, którym pragniemy posłać numery okazowe.

Rok XII Nr. 3.

TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO
OFICJALNY ORGAN SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE

Kraków, 15 lipca 1928 r.

Matterhorn.

Głosy oddalają się. Cichnie zgrzyt podkutych butów. Coraz słabiej dźwięczą uderzenia czekanów o skałę. Czasem jeszcze zadudni potrącony kamień i stłumionem echem zahuczy w niewidzialnej przepaści. — Cisza. — Nawet czarne kruki Matterhornu płyną bezszelestnie na nieruchomo rozpostartych skrzydłach. Pojawiają się gdzieś w głębi, od strony Breuil i zataczają koliska nad czerniącym się żelazną koronką — w połowie grani szczytowej — krzyżem Carrel'ów.

Krzyż Carrel'ów... Cała epopeja bohaterskich zapasów z dumnym i tragicznym wierchem, ta Iljada odkrywczego alpinizmu, staje mi w pamięci. Przesuwają się spiżowe postacie Whymper'a i Tyndall'a, Croz'a i Maquignaz'ów, obu Carrel'ów i dzielnego garbuska — Luc'a Meynet'a. Zdaje mi się, że słyszę beztroskie okrzyki triumfu pierwszych zdobywców, a tam, na podciętem zboczu, zda się, że widzę spadających w niemem przerażeniu: Croz'a, Hadow'a, Hudson'a, lorda Douglas'a. Na ponurych krzesanicach zachodniego urwiska podziwiam nadludzkie zmaganie się J. A. Carrel'a i J. B. Bich'a, J. A. Meynet'a i księdza Gorret'a, przeżywam w myśli zuchwałe przejścia Penhall'a i Mummery'ego poprzez ścianę od Tiefenmatten i mozolne próby G. Rey'a na grani Furggen. Za witeziami ciągną korowody innych bojowników, a wreszcie majaczą smętne sylwetki nieszczęśliwych ofiar skalnego olbrzyma... Lecz posępne zjawy pierzchają wobec radosnego blasku słońca, budzącego najcudniejsze odcienie na niepokalanych draperjach, spowijających potężne gmachy Monte Rosa i Lyskamm'u, ostre krawędzie Mischabel'i, trójgraniastą piramidę Weisshornu i strzeliste ściany Dent Blanche. Niżej rozpływają się miękkie kształty firnów i lodowców, mieniąc się słonecznem złotem śniegu, szmaragdami szczelin i szafirem cienistych zboczy.

Ku południowi wzrok gubi się w głębi szerokiej kotliny Breuil, gdzie pośród rudawej zieleni połogich hal znaczą się malutkiemi punkcikami szałasy i hotel Giomein. Za nią — u podnóża ciemnych regli i czerwonawych, poszarpanych turni — wije się krętą smugą Val Tournanche Jeszcze dalej, za szeregami pagórków, sinieją — srebrem rzek przetykane — równiny Italji.

Bliżej wystrzela ze świetlanych oparów smukła postać Monte Viso, potem Grivola błyska lodowym pancerzem, hen zaś, na najdalszym widnokręgu, ciągnie się łagodny grzbiet Alp Nadmorskich.

Wśród ciżby rozlicznych innych wierzchołków wznoszą się śmiałe zarysy Pelvoux, Écrins i hardej Meije, a cyzelowany orszak zuchwałych iglic skupia się koło majestatycznego profilu Mont Blanc.

Na przeciwległym krańcu horyzontu błękitnieją niepewnym konturem Alpy Tyrolskie i bieleją wierzchołki Ortleru, oraz zgrabnej Disgrazii, całe jednak grupy pomniejszych szczytów nużą oko, które z radością odnajduje później przepyszne linje łańcucha berneńskiego, z ostremi graniami Finsteraarhornu i Schreckhornu, śnieżną kopułą Mönch'a, imponującą masą Aletschhornu i pochyłą, nieco do Świnicy podobną, sylwetą Jungfrau.

W dole, o trzy tysiące metrów pod memi stopami, leży Zermatt, otoczone soczystą zielenią bujnych hal, ścielą się ciemne płaty lasów, a na słonecznych zboczach, na wysokości naszego Krzyżnego lub Szpiglasowej Przełęczy, widać porozrzucane kwadraciki uprawnych pól, z dojrzewającemi łanami pszenicy.

Z obrazem, jaki roztacza się z Matterhornu, dzięki wspaniałemu odosobnieniu tego skalnego tytana, przed którym inne dostojne olbrzymy rozstąpiły się szeroko, by mu nie mącić samotnej zadumy, żaden widok z najwyższych alpejskich wierzchołków mierzyć się nie może!

— — — — — — — — — — — —

Pierwszy raz ujrzałem go zdaleka, ze szczytów Alp Berneńskich Wkrótce potem zdążaliśmy we dwójkę ku Col d'Hérens. Kurniawa pastwiła się nad nami przez długie godziny, wreszcie wiatr przycichł i tylko gęsta mgła odgradzała nas od świata. Przystanęliśmy dla odpoczynku. Nagle zasłona chmur rozdarła się od góry, rozwierając się na dwie strony... Wysoko, ponad skłębione morze mgieł, jakaś niebywale groźna, olbrzymia ściana strzela ku niebu ostrą krawędzią szczytu, zapalającego się purpurą zachodu... To Matterhorn! Na prawo pozioma grań Tyndall'a opada wielkiemi stopniami ku Col du Lion, na lewo ciągnie się ku górze potężne, firnowe żebro i ginie pod fantastycznem wybrzuszeniem grani Zmutt... Zmrok zapadł, a my zwolna posuwamy się u podnóża kolosu, co nam prawie pół nieba zakrywa. Nazajutrz podziwialiśmy go z najpiękniejszej strony, od Zermatt i z drogi na Theodulpass, a potem ze szczytu Breithornu.

Minął rok. O północy, ze schroniska na Hoernli, wyrusza siedm karawan i pnie się mozolnie długim, latarkami połyskującym, wężem po stromych, kruchych ścianach... Zbliżamy się do „Ramienia". Wtem odzywa się nad nami — w ciemności — złowrogi gruchot głazów... Nazajutrz opuszczałem Alpy zgnębiony, potłuczony.

I znowu upłynął rok. Niebo jakieś martwe, szare, posępne. Marzniemy okrutnie na Monte Rosa. Kręcimy się — wśród potoków deszczu — u stóp Matterhornu. Napróżno!

Spotykamy się znowu po dwu latach. Udaje się nam doprowadzić do skutku — pomimo niesprzyjających okoliczności — kilka ambitnych planów, w najlepszym więc nastroju, przy ślicznej pogodzie, kierujemy nasze kroki ku Hoernli. Tymczasem wojna wybuchła. Zermatt opustoszało, na ścieżce do „Czarnego Jeziora“ ani żywego ducha, a dalej nawet ślady się zacierają. Dochodzimy do schroniska. Drzwi otwarte, wewnątrz pustka, żadnych sprzętów, tapczany toną w czarnym lodzie, wypełniającym do połowy najlepszą izbę. Musimy tu jednak zanocować, bo nowy, tuż obok zbudowany, hotelik zamknięty teraz na głucho. Brr... zimno! Zrywa się wicher i coraz silniej szarpie osamotnioną ruderą. Odzywają się jęki przeciągłe, piski i wycia, chichoty urągliwe, jakby wszystkie legendarne duchy Matterhornu odbywały potępieńcze sabbaty... Rano zapadamy się po pas w świeżych zaspach śniegu...

Najbliższego lata częste zadymki przystroiły wszystkie wysokie szczyty w kunsztowne rzeźby lodowych sopli i powiewnych, śnieżnych nawisów. Matterhorn był niedostępny.

Przyszła ostra, długa, w śniegi obfita, zima. Potem promienna wiosna zagrzmiała echem tysiącznych lawin, oczyściła żleby, utrwaliła zdradliwe puchy i rozgrzała skały. Dopiero się hale zielenieć zaczynały, a wdzięczne soldanelle różowemi gwiazdkami otaczać topniejące płaty śniegów, kiedy rozpocząłem wędrówki po morenach lodowców Monte Rosa, dźwigając przyrządy topograficzne i młotek geologa. Gdzieś wysoko, w jasnościach południa i fioletach zachodu, rysowała się podniebna, niewypowiedzianie wytworna, sylweta Cervin'a. Od czasu do czasu, korzystając z uśmiechów pogody, wymykałem się na zwiedzenie któregoś ze słynnych olbrzymów Wallis'u. Na niejednym z nich przeżyłem pełne grozy momenty, na niejednym doznałem największych alpinistycznych rozkoszy, ścinając czekanem misterne woluty nawisów i białe ostrza szczytowych grani..

Dziś wreszcie najdawniejsze z moich alpejskich marzeń stało się rzeczywistością, ale rzeczywistością tak bajecznie barwną, takiego niezwykłego uroku pełną, tak przebogatą we wrażenia, że się snem niemal wydaje ułudnym...

Jakieś dziwne, przejmujące melodje grają mi w duszy, upojonej przestrzenią. Czy to wiatry wyżynne śpiewają odwieczną pieśń pogranicza zaświatów? Czy to „Pieśń o wiekuistej tęsknocie“ dźwięczy mi w pamięci?... Karłowicz... Odzywają się serdeczne wspomnienia bezpowrotnie minionych chwil, drogie tatrzańskie wspomnienia... Pan Mieczysław i Tatry... Im to zawdzięczam pośrednio najlepszą cząstkę dzisiejszych przeżyć. Bo na tatrzańskich granitach stawiałem pierwsze kroki, wiodące w czarowny świat wierchów. Na tatrzańskich turniach poznałem urok trudności zawrotnych szlaków. Karłowicz wprowadził mię do Sekcji, w sam środek najżywszego ruchu taternickiego, ale on też nie dał mi zboczyć na manowce czysto sportowych wspinaczek; za jego przykładem zakosztowałem

niezrównanych rozkoszy samotnych wędrówek i głębokiego odczuwania wysokogórskiej przyrody.

Kiedy po raz pierwszy znalazłem się wobec ogromu alpejskich wierzchołków, twarda szkoła tatrzańska pozwoliła mi przedsiębrać - - odrazu i samodzielnie — poważne wędrówki. Czułem się pewnie, gdy chodziło o przejścia skalne, długich jednak lat systematycznej pracy i wielu bolesnych doświadczeń trzeba było, zanim zdołałem opanować technikę lodowcową do tego stopnia, by z czystem sumieniem móc projektować średnio trudne, śniegowe przeprawy. Widziałem sławnych przewodników przy robocie, kilkakroć z nimi chodziłem samowtór, w różnych warunkach, ale nigdy nie czułem ich wyższości w skalnym terenie. Raczej przeciwnie, bo mi się zdarzało we mgle, w nocy, lub przy oblodzonych, trudnych skałach, znajdować lepsze wyjście i ich samych na dobrą drogę wyprowadzać. Natomiast wśród chaosu *sérac*'ów, na lawiniastych, firnowych zboczach, lub na ostrzach śnieżnych grani, podziwiałem zawsze ich zdolności orjentacyjne, ich pewność w ocenianiu możliwości przejścia, tam, gdziebym się nawet nie ośmielił próbować, ich wspaniałą technikę rąbania stopni, czy przecinania niebezpiecznych nawisów. Żaden turysta nie dojdzie do podobnego mistrzostwa we władaniu czekanem. Na to trzeba się urodzić w zapadłej, górskiej wiosce, w obliczu lśniących obszarów śnieżnych, trzeba od dziecka pasać owce, gdzieś wysoko, ponad zielonemi halami, pośród szarych moren, nad brzegami potrzaskanych szczelinami lodowców, trzeba od młodego wieku chadzać jako tragarz u boku ojca lub brata-przewodnika i w długie zimowe wieczory przysłuchiwać się opowiadaniom „starych", co jeszcze znali Melchjora Anderegg'a, Chrystjana Almer'a, pamiętają Bennen'a, Hansa Piotra Perren'a i obu Burgener'ów — stryjów sławnego Aleksandra...

* *
*

Zaczynam odwrót. Szerokie, gładkie płyty tworzą jakby dachówki na północnym stoku, słusznie nazywanym dachem Matterhornu, „le toît du Cervin", pokrytym zazwyczaj grubą warstwą śniegu. Dziś jednak śliska skała przeziera na każdym kroku i zmusza do uważnego stąpania. Niebawem nachylenie wzmaga się i zjawiają się pierwsze liny konopne, bielejące na tle stalowo-szarego gnejsu. Po prawej stronie, bliżej krawędzi, za którą opada ściana wschodnia, skała staje się jaśniejsza, gruboziarnistsza i bogatsza w chwyty, niż ta, kędy wiedzie szlak, obwieszony linami. Lawirując wpobliżu owej krawędzi, dochodzę szybko do „Rochers rouges", czerwonej, litej skały, gdzie — pomimo nader skąpych chwytów — nie napotykam nadmiernych trudności. Dopiero koło miejsca, w którem zwykła droga najbardziej się do krawędzi przybliża, uciekam się do pomocy jednej z pięciu, umocowanych tutaj, lin i grubego, zardzewiałego, oblodzonego łańcucha, który się pomiędzy niemi plącze. Jest to najprzykrzejsze przejście. Nieznaczna przewieszka tworzy wybrzuszenie na kilkumetrowej, zupełnie pionowej, ścianie, a absolutny brak chwytów zmusza do użycia sztucznej pomocy. Pod przewieszką wracam czem prędzej ku grani, opa-

dającej bardzo wysokiemi stopniami. Dzięki suchej i nie nazbyt zimnej skale, po wąziutkich gzymsikach, oraz stromemi rysami i kominkami, przedostaję się z piętra na piętro, aż wreszcie nachylenie ścian maleje, progi rozszerzają się i doprowadzają do „Ramienia", charakterystycznego, niemal poziomego, wgięcia północno-wschodniej grani Matterhornu. Od „Ramienia" zwykła droga prowadzi zboczem wschodniem, w mniejszej lub większej odległości od długiej i poszczerbionej grani, biegnącej lekko zakrzywioną linją ku skalistemu cyplowi Hoernli. Na zboczu „Ramienia" leży zawsze niewielki płat firnu, którego 50-cio stopniowe nachylenie przedstawia się dość zawrotnie. Patrzę na zegarek. Za parę minut dziewiąta. Czasu nie brak, pogoda przepyszna, nic mi więc nie przeszkadza popróbować drogi, którą Mummery szedł od grani Furggen.

Rozglądam się z uwagą. Wprost nade mną piętrzy się niedostępna, miejscami przewieszona, rdzawa ściana szczytowa, u której stóp ciągną się ku włoskiej stronie niewyraźne, smugami śniegów zaznaczone, zachodziki. Popod najniższym progiem ściany, wyginającym się łukowato aż ku grani „Ramienia", leży zbita masa śniegu, nie noszącego śladów spadających kamieni. Obieram więc tę bezpieczną drogę i bez najmniejszego trudu posuwam się aż do miejsca, gdzie próg ginie w rodzaju ostrej grzędy, za którą otwiera się stromy, poryty przez lawiny, żlebek lodowy. Szybko przerąbuję się na drugą stronę. Tu dwie równoległe półeczki wyodrębniają się z przetykanego śniegiem muru. Niebawem nowy żlebek przecina ciągłość półek, a za nim wznoszą się skomplikowane stopnie i progi dość wysokiej, jasno-szarej ściany o niepewnej skale; trudności nieznaczne, ale miękki śnieg zmusza do wielkiej ostrożności. Szukając najlepszego przejścia, wydostaję się na szerokie, strome pole śnieżne, u stóp cofających się ku górze ścianek i trzymając się tuż popod niemi, trawersuję coraz dalej. Zbocze staje się stromsze i rozbija się na drobne stopnie, poprzegradzane mnóstwem gzymsików, półek i załup, pociętych kominkami i wystającemi żeberkami. Naraz wszystko urywa się nad fantastyczną przepaścią, z której wyzierają poszarpane szkielety dziwacznych turni, chłopków, kogutków i wieżyc. Wdole świeci blady lodowiec, a dalej uśmiechają się zielone łąki Val Tournanche. Tuż nade mną wznosi się stromemi ścianami ostatnia partja grani Furggen, przypominająca swą budową układ wątku starych, karolińskich murów w kościołkach Wallis'u i Piemontu. Na lewo zaczyna się dziko pozębiona i pozałamywana grań, urywająca się gdzieś w niewidocznej głębi, nad bielą płaszczyzn Furggenjoch'u.

Gdybym chciał powracać ściśle drogą Mummery'ego, musiałbym trzymać się nieco na lewo od grani i w połowie jej długości zwrócić się jeszcze bardziej w lewo, by dotrzeć do miejsca, gdzie zatoka lodowca Furggen najwyżej się wdziera na skały Matterhornu. Jednakże wobec szeroko otwartych szczelin lodowca muszę wydostać się na zwykłą drogę od Hoernli. Narazie zaczynam schodzić po twardym śniegu, tuż pod potężnemi krzesanicami, ścinającemi od północy pierwszą turnię grani Furggen.

Wkrótce śnieg urywa się nad skalistym progiem, co skłania mię do trawersowania w lewo, poczem powracam w pobliże grani, a stąd zalodzonym żlebkiem dążę prosto wdół, na trójkątne pole śnieżne i znowu trawersuję w lewo, ku wielkiej, z zielonawej skały zbudowanej, grzędzie. Niżej żółta barwa ściany ostrzega już zdaleka przed zapuszczaniem się na — słabo lodem sklejone — rumowisko, idę więc skośnie przez szeroki żleb, ku następnej, jeszcze wybitniejszej, bardzo stromej i niełatwej, grzędzie. Podcięte ścianki zmuszają do lawirowania, a wreszcie do schodzenia niezmiernie stromym, zlodowaciałym śniegiem. Dalej zaczyna się długi, monotonny, skalisto-śnieżny stok, łatwy, ale niebezpieczny, bo w chwilę po mojem przejściu kamienie ożywają i w podskokach pędzą do wyszlifowanych przez lawiny żlebów. Jeszcze parę drobnych żeberek skalnych, szerokie płaty mięknącego śniegu, potem szkaradnie krucha bula, a za nią widać już ślady kroków, wpobliżu „Starego Schroniska". Południe dochodzi, więc nie zatrzymuję się przy zaśmieconej ruinie i podążam dalej zwykłym, dobrze mi już znanym, szlakiem. Na ostatnim progu skalnym przystaję na chwilę, by pożegnać się z czarem skalnych pustkowi. Jeden krok dalej — to już pospolita rzeczywistość: Hoernli, schludny hotelik i taras ze stolikami...

Przy kawie przynoszą mi książkę hotelową w której zapisuję: „w powrocie z Matterhornu, 8 sierpnia 1916 r."

E. W. Janczewski.

O tatrzańskie itinerarjum Staszica.

(Z powodu rozprawy dra Mieczysława Świerza pt. „Stanisław Staszic w Tatrach".) *)

„Wśród zasług, które imię Stanisława Staszica niezgasłym blaskiem rozgwieżdżają w pamięci narodu, nie ostatnią jest ta jego zasługa, że on pierwszy z Polaków rozwarł skalne wrota Tatr dla polskiej myśli badawczej, on pierwszy z Polaków wspiął się ku najwyższym ich złomom szczytowym, on pierwszy zaczerpnął z ich wyniosłości krzepiącej wiary w niezniszczalną żadnym ciosem moc narodu."

Temi słowy rozpoczyna Mieczysław Świerz swą, godną najżywszej uwagi, rozprawę o Staszicu w Tatrach, trafnie odczuwając ciążący na współczesnem pokoleniu miłośników Tatr obowiązek ujęcia w całokształcie i ocenienia z perspektywy stulecia tej „nie ostatniej wielkiego Polaka zasługi, która polega na tem, że Staszic pierwszy wyrwał Tatry z pomroki legend i zabobonów, pierwszy w rzeczywistych już zarysach ukazał je oczom społeczeństwa, pierwszy odprostował w nich ducha, szukającego dróg ku wyzwoleniu ojczyzny...., że pierwszy wskazał na Tatry, jako na nieogarniony, najzawilszych problemów pełen, teren dla badań przyrodoznawczych, pierwszy też dał nam ich ścisły, przyrodniczy, w dziejach polskiej wiedzy

*) Odbitka z księgi zbiorowej „Stanisław Staszic", Lublin 1926.

epokę stanowiący opis...., że jest wreszcie pierwszym rozbudzicielem polskiego ruchu turystycznego po Tatrach, pierwszym inicjatorem zuchwale zamierzonych pomysłów taternickich, pierwszym teoretykiem techniki i niebezpieczeństw wysokogórskich."

Powyższa, arcytrafna charakterystyka roli Staszica w Tatrach, sposób jej ujęcia i przeprowadzenie w rozprawie Świerza, godne są gorącego uznania. Ze skąpych, niewystarczających, częstokroć niejasnych zapisków autora „Ziemiorodztwa Karpatów" wydobywa Świerz moc materjału faktycznego i potrafi go w umiejętny sposób wyjaśnić, zestawić i połączyć, tak, iż — po raz pierwszy w literaturze — znajdujemy tu wyrazisty, dokładny obraz tego pierwszego podróżnika tatrzańskiego i po raz pierwszy możemy ogarnąć i zrozumieć ogrom dokonanego przez Staszica wysiłku i rozpiętość zainteresowań, jakie ten niezwykły, wyprzedzający o sto lat swe pokolenie, umysł połączył z Tatrami.

Jeżeli ponadto uwzględnimy nietylko staranną, ale prawdziwie piękną formę literacką, w jaką autor ujął omawianą rozprawę, możemy na tem miejscu nie bez satysfakcji stwierdzić, że — dzięki Świerzowi — w setną rocznicę zgonu Staszica padły na grób jego od taternictwa polskiego nietylko „kwiaty wiecznie żywej pamięci", ale podjęta została pierwsza, poważna i stojąca na wysokości zadania, próba podania potomności pełnego obrazu staszicowej w Tatrach zasługi.

* * *

Wśród problemów, pozostających w związku z podróżami Staszica do Tatr, nas taterników przedewszystkiem interesuje zagadnienie, gdzie były skierowane tatrzańskie wyprawy Staszica, na jakich szczytach stanął, jakiemi je zwiedził drogami. Krótko mówiąc — odtworzenie itinerarjum Staszica. Ponieważ zadanie to Świerz stara się rozwiązać i poświęca mu szczególną uwagę, pragniemy na tem miejscu tę część rozprawy omówić obszerniej i poddać krytycznemu badaniu.

Trzeba odrazu stwierdzić, że zadanie to nie jest łatwe Staszic nie pozostawił nam opisu swoich podróży do Tatr. Są tylko fragmenty, rozrzucone po kilku rozprawach naukowych, zebranych i wydanych razem w dziele „O Ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski" (Warszawa 1815). Już zatem choćby z tego powodu odtworzenie itinerarjum Staszica jest utrudnione. Główna trudność leży jednak gdzie indziej. Gdy podróżnicy, którzy na przełomie XVIII i XIX stulecia przychodzili w Tatry, obierali jako punkt wyjścia południową stronę gór, stamtąd brali przewodników i tamże, gdzie od czasów Buchholzów wysoka już istniała znajomość Tatr, mimochodem niejako i bez wysiłku przyswajali sobie znaczną, początkową wiedzę topograficzną, to dla Staszica, przychodzącego z Polski, Tatry przedstawiały w pełnem tego słowa znaczeniu terram ignotam. Niema w „Ziemiorodztwie" żadnych śladów, pozwalających przypuszczać, iżby Staszic znał jakiekolwiek opisy Tatr: Buchholzów, Hacquet'a, Townson'a; przeciwnie — pewwnem jest, że ich nigdy nie miał w ręku. Jedynem źródłem pisanem jego wiadomości o Tatrach były bałamutne „spiski" poszukiwaczy skarbów (por. Ziemiorodztwo, str. 164 i 165*). Przewodników brał stale polskich (słowackich), z północnej strony i raz tylko — w wyprawie na Łomnicę — ma za towarzyszów górali ze wsi Staroleśnej i Garłuchowa (str. 177). W tych warunkach staje się zrozumiałe, że wiadomości Staszica o topografji Tatr

*) Cytowane tu i poniżej stronice „Ziemiorodztwa" odnoszą się do wydania z r. 1815.

były niewystarczające, że miał on niekiedy zupełnie błędne wyobrażenie o wzajemnem położeniu grzbietów i szczytów tatrzańskich. Jeżeli ponadto dodamy, że nomenklatura Tatr Wysokich u Staszica, polegająca na wypartem już dawno i nigdy — zdaje się — nie ustalonem, imiennictwie Jurgowian, jest bardzo niepewna, to łatwo zrozumieć, dlaczego opisy tatrzańskie, zawarte w Ziemiorodztwie są — obok „spisków" poszukiwaczy skarbów — najciemniejsze i najmniej zrozumiałe ze wszystkich, jakie kiedykolwiek o Tatrach powstały,

W tym stanie rzeczy staje się jasnem, że praca nad odtworzeniem itinerarjum Staszica jest naprawdę trudna i nie należy się dziwić, iż mimo — od pół wieku trwających — usiłowań rozwiązania tego problemu, podejmowane niejednokrotnie wysiłki były — aż do dni naszych — bezskuteczne.

Tyczy się to — w pierwszej linji — najpowszechniej podzielanego przekonania, że Staszic był na Lodowym Szczycie, występującym w jego książce pod nazwą „Kolbah wielki", którego zwiedzenie obszernie opisuje (str. 136—162). Poczynając od Kolbenheyera, który pierwszy w literaturze tatrzańskiej (1874) zidentyfikował „Kolbah wielki" z Lodowym*), głównie zaś dzięki Waleremu Eljaszowi, pogląd ten staje się zczasem ogólnie obowiązującym, jakkolwiek dla każdego taternika musiała przedstawić się jako w najwyższym stopniu problematyczna możliwość wyjścia — w początkach XIX wieku — na Lodowy od strony Czarnego Stawu Jaworowego. Mimo to jednak, jeszcze w 1913 r. Mieczysław Świerz, który, jako zdobywca Lodowego Szczytu od Czarnego Stawu Jaworowego, znał teren dokładnie, przyjmuje tradycję powyższą jako pewnik (por. „Zarys dziejów taternictwa polskiego" w Pamiętniku T. T. z 1913 r.**)

Dokładniejsze studjum Ziemiorodztwa potęguje wątpliwości, przemawiające przeciw utożsamieniu „Kolbaha wielkiego" z Lodowym Szczytem (przedewszystkiem ustęp na str. 157: „...tylko ściana Kolbaha od wschodu jest pochodzistą i przystępną. U jej dołu leży jezioro zielone..."). Z drugiej jednak strony, niepodobieństwem jest przypuścić, aby Staszic nie zwrócił wogóle uwagi na Lodowy Szczyt, który — zwłaszcza od strony polskiej — jest przecież najpotężniejszą i najwspanialszą postacią górską w Tatrach. Gdy poza tem nie ulega wątpliwości, że staszicowy „Krapak", najwyższy i najwybitniejszy z wierchów tatrzańskich, oznacza Łomnicę (tytuł rozprawy piątej; str. 163: „O Krapaku wielkim teraz po-

---

*) Kolbenheyer Karl. Zur Geschichte der Tatraforschungen (Jahrb. d. Ung Karp.-Ver. 1874), gdzie na str. 49 czytamy: „Staszic besuchte die Gruppe um die Eisthalerspitze (Grosser Kolbachberg)". Por. również u Dénes'a „Die Eisthaler Spitze", tamże, rocznik 1880, gdzie na str. 273 czytamy:.... (die Eisthaler Spitze) welche einstens die Jurgover Wildschützen „Velki Kolba" (Grosser Kohlbachberg) benannt hatten. Por. także panoramę Tatr u Hacqueta (1790), gdzie nazwa „Wielki Kolba" najwyraźniej odnosi się do Lodowego.

**) W tym samym Zarysie", dodaje Świerz do dotychczasowych błędnych o Staszicu wyobrażeń. nową fałszywą hipotezę, pisząc: „Jest rzeczą prawdopodobną, iż Staszic był również (jako pierwszy) na Szczycie Kiezmarskim, który oznacza nazwą Trzy Wierchy, a który wówczas na Spiżu zwano: Dreifüsser Mann". Nietylko fałszywą jest tu wiadomość, że Staszic wyszedł na Szczyt Kiezmarski, ale również błędną informacja, że szczyt ten nosił kiedykolwiek nazwę: Dreifüsser Mann. Nazwa „Dreifüssiger Mann" odnosi się do Huncowskiego Szczytu (2353 m), zwanego także „Eidechse" (jaszczurka). Por. Genersich: Reise in die Carpathen, str. 177 i reprodukowaną w Jahrb. d. Ung. Karp.-Ver. 1913 panoramę Tatr J. Buchholza mł. z 1719 r., na którym obraz „jaszczurki" na Huncowskim Szczycie jest doskonale widoczny. Że „Dreifüssiger Mann" oznacza Huncowski Szczyt wiadomem było także w polskiej literaturze; por. komentarz Stan. Eljasza-Radzikowskiego do „Opisania ciekawego gór Tatrów" Michała Chrościńskiego w Pamiętniku T. T. z 1905 r., str. 129.

spolicie od Goralów Słowaków nazywanym „Wysoka; od Niemców Lomnizer Spitze“), to wszystkie te przesłanki każą nam uparcie nawracać do przypuszczenia, że jednakże „Kolbah wielki“ musi — mimo wszystko — oznaczać Lodowy Szczyt, tem bardziej, iż trudno przypuścić, aby był to jakiś wierch, nie wznoszący się nad Doliną Zimnej Wody lub Staroleśną (po niem. Kohlbach- i Grosskohlbachtal). Jeżeli ponadto dodamy, że — wedle tego, co czytamy na str. 167 i n. — Staszic, dotarłszy od Zielonego Stawu do Doliny Dzikiej i wspinając się zaśnieżonym żlebem między Łomnicą i Durnym — szedł na górę, zwaną „Trzy Wierchy“, za którą to górą dopiero ma się znajdować (p. str. 176) „holica Kolbaha małego“ (Dolina Zimnej Wody) i „wielki Krapak“ (tj. Łomnica), a na domiar wszystkiego dowiadujemy się ze str. 163, że Łomnica (Krapak wielki) wznosi się nad... Żabim Stawem Jaworowym, to otrzymamy zwięzły obraz chaosu, który w rozumny sposób uporządkować i wyjaśnić wydaje się niepodobieństwem.

Piszący te słowa pamięta dobrze, ile to razy odkładał książkę Staszica ze zniechęcającem uczuciem niemożności rozwiązania nagromadzonych tam zagadek. Pamięta także chwilę — było to w styczniu 1921 r.— kiedy, ślęcząc nad Ziemiorodztwem, olśniony został nagle ideą, że może cały ten splot niejasności i przeciwieństw da się wyjaśnić, gdy się przypuści, że Staszic popełnił jakiś kapitalny błąd w swojej koncepcji o konfiguracji szczytów tatrzańskich. Była to chwila rozstrzygająca: w pięć minut potem wszystkie wyprawy Staszica we wschodniej części Tatr układały się przede mną jasno i wyraźnie, jak zgłoski rozwiązanej szarady.

Ów kapitalny błąd Staszica polegał na tem:

1) że dwa, zupełnie odrębne, samoistne i głęboką doliną oddzielone, szczyty: Lodowy i Łomnicę, uważał za jedną i tę samą górę, nazywając ją Krapakiem wielkim;

2) że równolegle z tem jeden i ten sam szczyt górski (Łomnicę), oglądany raz od północy, drugi raz od południa, uważał za dwa, zupełnie odrębne, wierchy: od północy — jako środkowy z „Trzech Wierchów“, od południa — jako Krapak, który równocześnie identyfikował z Lodowym Szczytem.

W tych dwóch punktach mieści się klucz, przy pomocy którego rozwiązujemy wszystkie zagadki odnośnych opisów Staszica. Także zagadnienie „Kolbaha wielkiego“.

Nazywając — od polskiej strony — Lodowy Szczyt Krapakiem, przeniósł Staszic podyktowaną mu przez przewodników nazwę „Kolbaha wielkiego“ na jeden ze szczytów, sąsiadujących na wschód z Lodowym. Nie wybijające się z widoku od północy Baranie Rogi nie ściągają na siebie uwagi Staszica, Nazwę „Kolbaha wielkiego“ otrzymuje piękna piramida Kołowego Szczytu jakkolwiek przez to zerwany został związek, zachodzący między nazwą a jej rodowodem, wywodzącym się od Doliny Zimnej Wody: Kohlbach=Kaltbach). Analiza opisu, zawartego w Ziemiorodztwie (l. c.) stwierdza też ponad wszelką wątpliwość, że Staszic wyszedł od Czarnego Stawu Jaworowego na grzbiet, łączący Kołowy z Czarnym Szczytem i nim dalej na wierzchołek Kołowego. Tem samem pogrzebaliśmy na zawsze legendę o zdobyciu Lodowego Szczytu przez autora Ziemiorodztwa.

To, co dotychczas napisałem, ilustruje najlepiej trudności, z jakiemi musiał porać się Świerz, rekonstruując itinerarjum tatrzańskiej wyprawy Staszica. Ma też Świerz zupełną słuszność, zastrzegając zgóry, że wyniki jego dociekań „chociaż niejedną z dotychczasowych informacyj prostują lub

odmiennie wyjaśniają, przecież w niektórych szczegółach pozostać muszą w sferze hipotez i prawdopodobieństw".

Nie będę na tem miejscu powtarzał wywodów Świerza, gdyż są one — dzięki równoczesnemu ogłoszeniu rozprawy w „Wierchach" z r. 1926 — dla każdego taternika łatwo dostępne. Ograniczę się do przeciwstawienia w niektórych szczegółach, hipotezom omawianej rozprawy — hipotez bardziej prawdopodobnych, oraz wytknięcia Świerzowi twierdzenia, które nie jest ani „hipotezą", ani „prawdopodobieństwem", ale oczywistą niemożliwością.

Za taką oczywistą niemożliwość uważam przedstawioną przez Świerza rekonstrukcję itinerarjum Staszica w czasie od 1 do 11 sierpnia 1805 r. Wiemy z Ziemiorodztwa (str. 83 i 84), że Staszic noc z 1-go na 2-gi sierpnia 1805 r. spędził we wsi Spytkowice (niecałe 10 km na pd-zach. od dzisiejszej stacji kolejowej Chabówki). Dnia 11 sierpnia wieczorem widzimy go w Ważcu, na południowej stronie Tatr. Dzielący te dwa momenty czasokres dziesięciu dni wypełnia Świerz w następujący sposób:

Najpierw przechodzi Staszic z Doliny Raby — przez Obidową — do Nowego Targu, następnie bada pasmo skalic aż do Czerwonego Klasztoru w Pieninach, skąd przez wsi Zamagórza Spiskiego, Białkę, Bukowinę, oraz wzdłuż pasma reglowego przedostaje się ku Tatrom Zachodnim, w okolice Doliny Chochołowskiej i Kościeliskiej. Ogląda kopalnie w Banistem, Ornaku i Dolinie Miętusiej. Jest także nad Smreczyńskim Stawem. Bada skład geologiczny głównego trzonu Tatr i ich przedgórzy. Z Doliny Miętusiej wychodzi przez Ratusz na Małołączniak. Następnie idzie na wschód, Doliną Zakopiańską, wzdłuż pasma reglowego i wchodzi w Dolinę Bystrej. Potem podejmuje próbę wyjścia na Krzyżne przez Dolinę Pańszczycę. Wysoko w górze, zaskoczony przez burzę, nocuje na Hali Pańszczycy lub Waksmundzkiej. Następnego dnia Doliną Roztoki dostaje się do Pięciu Stawów, gdzie prowadzi badania naukowe. Zeszedłszy Doliną Roztoki na dół, idzie do Morskiego Oka, zwiedza Dolinę za Mnichem i Czarny Staw, mierząc głębokość i temperaturę jeziora i czyniąc obszerne obserwacje nad dookolnemi turniami. Następnie przechodzi z Doliny Białki, przez grzbiet Zadniej Kopy (1673 m) i górę Świstową (2055 m) do Doliny Jaworowej i dalej do Doliny Kołowej, skąd próbuje bez skutku wyjść na Kołowy Szczyt. Przechodzi przez grzbiet Upłazu (1784 m) z powrotem na dno Doliny Jaworowej, stamtąd dostaje się do Czarnego Stawu Jaworowego, podejmuje z powodzeniem wyjście na Kołowy Szczyt, nocuje w okolicy Czarnego Stawu Jaworowego, podchodzi następnie do Żabiego Stawu, na najwyższem piętrze Doliny Jaworowej i próbuje bezskutecznie wyjścia na Lodowy Szczyt. Powraca na północne podnóża Tatr i drogą przez Dolinę Kościeliską, Pyszniańską Przełęcz i Przybylinę dobija wreszcie do Ważca.

Już pierwszy rzut oka na tę imponującą marszrutę wystarczy — świadomemu rzeczy — do stwierdzenia, iż przyjęcie, że Staszic dokonał tego wszystkiego w okresie owych dziesięciu dni, jest absolutnem niepodobieństwem. Nietylko dlatego, że było to w r. 1805, kiedy stan dróg i środków komunikacyjnych musiał być jeszcze zupełnie pierwotny, ale przedewszystkiem z tego powodu, że Staszic podróżował ze spokojem i cierpliwością uczonego, że wszędzie trawił wiele czasu na obserwacje naukowe, że np. mierzył obwód Morskiego Oka, głębokość Czarnego Stawu, temperaturę tegoż stawu w wielkiej głębokości, trzymając skonstruowany przez siebie przyrząd pomiarowy na dnie jeziora przez cztery godziny (str. 132) itd. Wszystko to każe przyjąć, że na wykonanie całego owego programu ta-

trzańskiego spotrzebował Staszic nie — dziesięć dni, jak chce Świerz, ale czasokres kilkakrotnie dłuższy.*)

Błąd Świerza leży w tem, że wyprawy Staszica, podejmowane w kilku odrębnych latach, zbiera razem i pragnie umiejscowić w jednym, jedynym miesiącu, sierpniu 1805 r. W rzeczywistości był Staszic w Tatrach kilkakrotnie, w ciągu szeregu lat. W Ziemiorodztwie znajdujemy wyraźnie wymienione daty roku 1802, 1804 i 1805. Prawdopodobnie był on tam jeszcze w innych latach, gdyż czytamy na str. 77: „Uważałem w ciągu wielu lat, że Babia góra śniegami okrywa się przez całe lato, co kilka dni prawie...“ Jednakże na podstawie samego tylko Ziemiorodztwa, bez innych źródeł, zrekonstruować — w sposób wykluczający wątpliwości — itinerarjum choćby tylko z r 1805, z którego mamy najwięcej dat, niepodobna.**)

Przechodzę teraz do zakwestjonowania niektórych szczegółowych twierdzeń Świerza. W pierwszej linji chodzi tu o „Wołoszynię“, której najwyższy szczyt pragnął Staszic zwiedzić i zmierzyć.

Świerz twierdzi, że przez „Wołoszynię“ rozumie Staszic Koszystą i Wołoszyn, a celem wyprawy jego było Krzyżne. Ja sądzę, że „Wołoszynia“ oznacza cały łańcuch od Świnicy po Koszystą i że celem wyprawy był szczyt Świnicy.

Staszic pisze (str. 113):

„Z Miętuskich gór (tj. z Czerwonych Wierchów), w zamiarze zwiedzenia Rybiego jeziora i morskiego oka, przeszedłem przez Wołoszynię. Jest to góra najrozleglejsza z wszystkich Tatrow. Cała z granitów. Ma liczne wyniosłe karpy...“

„.... na Wołoszyni dla okolicznych goralow znajdują się najwygodniejsze polany....“

---

*) Nie trudno z ołówkiem w ręku obrachować, że gdybyśmy — odciążywszy Staszica z wszelkich badań naukowych — kazali mu wykonać przepisaną przez Świerza marszrutę w możliwie krótkim czasie i przyjęli, że na przejście ze Spytkowic do Nowego Targu i dalej do Czerwonego Klasztoru, oraz na zwiedzenie Zamagórza Spiskiego spotrzebował on tylko 3 dni, że na przedostanie się popod Tatry do Chochołowa i Kościelisk, na wycieczki w Baniste, na Ornak i w Dolinę Miętusią, z wyjściem na Czerwony Wierch — dalsze 3 dni, że zaraz potem próbował drogi na „Wołoszynię“ (u Świerza — Krzyżne), że następnego dnia był już przy Pięciu Stawach, a wieczorem przy Morskiem Oku, że następnie — zwiedziwszy w tempie dzisiejszych turystów — Dolinę za Mnichem i Czarny Staw, natychmiast ruszył na zdobywanie Kołowego Szczytu, że na przejście przez górę Świstową, zwiedzenie Doliny Kołowej, próby wyjścia stamtąd na Kołowy, uciążliwy pochód przez Upłaz do Czarnego Staw Jaworowego., wyjście na Kołowy, oraz zwiedzenie Żabiego Stawu, wraz z próbami wyjścia na Lodowy — spotrzebował znowu tylko 3 dni, że zaraz następnego dnia przedostał się z Jaworzyny aż do Kościelisk, to i tak, przy tem absurdalnem założeniu, wykonalnem zresztą jedynie tylko przy nieustannej pogodzie, moglibyśmy doprowadzić Staszica do Ważca dopiero na wieczór 15 sierpnia, a zatem z 4-dniowem opóźnieniem, gdy w rzeczywistości przybył on tam już wieczorem 11 sierpnia.

**) Bez możności wykluczenia wątpliwości, jednakże ze znacznym stopniem prawdopodobieństwa, przedstawiam następującą próbę rekonstrukcji itinerarium za owe 10 dni, od 2 do 11 sierpnia 1805 r.: Spytkowice — Obidowa — Nowy Targ — Morskie Oko — kopalnie w Świstowej — Dolina Jaworowa — Koperszady — Skoruszów (tj. dolna część grzbietu Świnki i Upłazów, inaczej niż na mapie 1:25000) — Czarny Staw Jaworowy — Kołowy Szczyt — Zielony Staw Kiezmarski — Przełęcz pod Kopą — Żabi Staw Jaworowy (?) — przejście pod Tatrami do Doliny Kościeliskiej — Tomanowa Przełęcz — Ważec.

Wszystkie inne, wymienione u Świerza wyprawy, nie wyłączając prób wyjścia na Kołowy z Doliny Kołowej i przejścia przez Upłazy — odbył Staszic w innych latach.

„Pominąwszy lasy, razem ukazują się na około podarte rozmaite granitów turnie Zdaje się na oko; iż niektore z nich rypy, rownają się prawie z wysokością Kolbaha lub Krywana". (str. 114).

„Przedsięwziąłem zwiedzić i zmierzyć z tych szczytów najwyższy..."

„Wołoszyni góra na pół mili rozległa..." (str. 117).

Wreszcie szczegół topograficzny: według Staszica Dolinę Pięciu Stawów otaczają (str. 120): „Od Zachodu Wołoszyńskie sczoty; od południa mury Liptowskie..."

Cytaty powyższe wystarczają, aby stwierdzić, że przez „Wołoszynię", „najrozleglejszą górę" tatrzańską, pół mili mierzącą *), poszarpaną w liczne wyniosłe szczyty (rypy), dorównujące na oko wysokością Kołowemu i Krywaniowi, a stanowiącą w całości zachodnie (w rzeczywistości północno-zachodnie) otoczenie Doliny Pięciu Stawów — rozumiał Staszic cały łańcuch gór od Świnicy po Koszystą, a nietylko najmniej wysokogórski fragment tego łańcucha — Koszystą, wraz z niewidocznym od północy Wołoszynem, jak twierdzi Świerz.

Jeżeli tak jest, to „najwyższy szczyt", na który Staszic dążył, mógł być tylko Świnicą, na którą z Hali Gąsienicowej wiedzie — jasno w naturze nakreślona — droga przez Liljowe i Skrajną, oraz Pośrednią Turnię.

Dalsze szczegóły potwierdzają tę hipotezę. Staszic, zawrócony z drogi przez burzę, w odległości „około dwóchset sążni" od wierzchołka (str. 118), znajdował się n a g r a n i („grzbiet upłazów; po którym tylko można było piąć się w gorę", l. c.), szczegół którego nie można uzgodnić ze wskazaną przez Świerza drogą przez piarżyska Krzyżnego. Nie dość na tem: gdy Staszic późnym wieczorem zachodzi na hali do pierwszego z brzegu szałasu, górale „porwawszy z drugiemi siekierki, pobiegli rąbać pobliższej kozodrzewiny gałęzie dla rozpalenia nam wielkiego ognia, abyśmy się obsuszyli" (str. 119). Szczegół ten może być odniesiony jedynie tylko do leżącej ponad granicą lasów Hali Gąsienicowej, a nie — jak sądzi Świerz — do — położonej w zasiągu leśnym — Hali Pańszczycy lub Waksmundzkiej.

Sądzę tedy, że możemy z czystem sumieniem zapisać w rejestrze wypraw staszicowych także próbę wyjścia na szczyt Świnicy.

Różnię się dalej ze Świerzem w określeniu przełęczy, przez którą przechodził Staszic z Kościelisk na południową stronę Tatr. Wbrew Świerzowi, który wymienia Pyszniańską Przełęcz (1789 m), sądzę, że droga szła przez Tomanową Przełęcz (1689 m).

Staszic pisze (str. 106): „Od Kościelisk idzie drożyna konna z strony północnej na południową w poprzecz Tatrow aż do Przybylin w Węgrzech. Tą drogą przechodziłem..."

U Jakóba Buchholza „Beschreibung des wundervollen Karpathischen Schneegebirges" (pracy napisanej ok. 1760 r.) czytamy: „Zwischen diesen zweyen Bergen (sc. między Tomanową i Hliną) ist von Pribilina ein Durchgang zu Fuss und zu Pferde nach Pohlen". Ponieważ nie ulega wątpliwości, że Buchholz mówi tu o Tomanowej Przełęczy, niepodobna jest przyjąć, iżby Staszic przeprawiał się przez jakąkolwiek inną. wyższą przełęcz, tem bardziej, że — o ile wiemy — przez Pyszniańską Przełęcz nigdy ścieżka konna nie prowadziła.

Wreszcie jeden szczegół z wyprawy na Kołowy Szczyt. Świerz każe Staszicowi, po zdobyciu szczytu, zejść z powrotem w Dolinę Czarną Jaworową. Twierdzenie to jest mylne. Staszic schodził z Koło-

*) Odległość Świnicy od ostatniego (północnego) wierzchołka Koszystej wynosi 4 km; mila równa się ok. 7½ km.

wego Szczytu do Zielonego Stawu Kiezmarskiego i nocował przy ogniu, prawdopodobnie nad urwiskiem Doliny Jastrzębiej, skąd — dostawszy się nazajutrz do Zielonego Stawu — powrócił zapewne utartym szlakiem przez Przełęcz pod Kopą, na polską stronę.

Staszic zabawił na wierzchołku Kołowego do jakiejś godziny szóstej wieczorem. „W półtorej godziny przed zachodem słońca, gdym już miał schodzić na doł ku Zielonemu, gdzie myślałem nocować“.. (tu następuje opis żarzenia się gór; str. 161) Cytat ten stwierdza, że Staszic niewątpliwie skierował się ze szczytu „pochodzistą i przystępną“ (str. 157) wschodnią ścianą Kolbaha, tzn. zeszedł z zupełnie łatwej, południowej grani, na dno łączącej się z nią szerokiem, piażystem zboczem, Doliny Jastrzębiej i nią ku Zielonemu Stawowi, który jest ze szczytu widoczny Zresztą szlak od Czarnego Stawu Jaworowego przez Czarną Przełęcz i Dolinę Jastrzębią do Zielonego Stawu był już na przełomie XVIII i XIX stulecia znany i jest opisany u Genersicha („Reise in die Carpathen“, 1807.*)

Pragnę jeszcze zaznaczyć, iż bardzo wątpię, czy Kołowy Szczyt był aż do wyprawy Staszica naprawdę „stopą ludzką nietknięty“, jak twierdzi Świerz. Ponieważ od miejsca, gdzie przechodzi się przez Czarną Przełęcz (która — jak zaznaczyłem — była szlakiem wówczas znanym), wyjść można w pół godziny na wierzchołek Kołowego bez żadnych trudności, trudno przypuścić, aby w tej, przez poszukiwaczy skarbów specjalnie umiłowanej okolicy, nikt nie pokusił się o wyjście na szczyt, tak łatwo dostępny. Tem bardziej, że jeden ustęp u Genersicha (l. c. str. 195): „Die Spitzen des grünen und rothen Sees schliessen ebenfalls die Ostseite des grossen Eisthales (tj. kotła pod Śnieżną i Czarną Przełęczą) vollkommen; und ich sah von den Roth-See-Spitzen die ebene Fläche dieses mit lauter Thürmen umschränkten Thales am Ende July völlig mit Schnee erfüllt“ — każe przypuścić, że i Genersich był na Kołowym Szczycie i to zapewne przed Staszicem.**)

Poza wymienionemi wyżej kwestjami, różnię się ze Świerzem tylko w niektórych drobiazgach. Mogę je śmiało pominąć, stwierdzając, że rozprawa Świerza pozostanie na zawsze przełomową w badaniach nad Staszicem w Tatrach i więcej światła w tym, arcyciekawym temacie, dać mogą tylko nieogłoszone dotąd rękopisy autora Ziemiorodztwa, jeśli są wśród nich Tatr się tyczące.***)

Roman Kordys.

---

*) Str. 194 (przy opisie Czarnego Stawu Jaworowego): Ich fand hier im Aussteigen über den Wasserfall, etwa zwei Stunden hoch, über dem schwarzen See ein langes, aber äusserst wildes, von groben Granit-Blöcken, Krummholz und hier und da von grossen Schneelagern bedecktes Gebirgs-Thal, das sich bis an die Spitzen am Ende stufenweise erhebt, und stieg dann in dem Papyrius-Thal, oder dem Thale zur Rechten des grünen Sees, in die vordere Gegend herab“.

**) Przedmowa do książki Genersicha nosi datę: Kraków, 12 lutego 1806, cytowany zatem ustęp może się odnosić najpóźniej do lipca 1805 r., gdy Staszic był w tej okolicy dopiero w sierpniu tegoż roku. Prawdopodobnie jednak notatka Genersicha odnosi się do wcześniejszych czasów.

***) Odpowiedź dra Mieczysława Świerza na powyższy artykuł ukaże się w piśmie naszem na jesieni. *Red.*

Nieco o nowoczesnych aparatach fotograficznych dla taternika.

Z uwagi na to, że fotografja amatorska oddała już tatroznawstwu i taternictwu wielkie usługi i że odnośna jej rola nie jest jeszcze w Tatrach zakończona, wydaje mi się usprawiedliwionem i pożytecznem omówienie na łamach *„Taternika"* paru nowych, do zdjęć w górach nadających się, typów aparatów fotograficznych, a to tem bardziej, że poza krótkiemi (i — z natury rzeczy — częściowo już przestarzałemi) wskazówkami w sprawie wyboru aparatu dla taternika, zamieszczonemi w I-szym tomie mego *„Przewodnika po Tatrach"* z 1906 r., oraz rozdziałem pt. „Fotografja na usługach taternictwa" w *„Zasadach taternictwa"* Z. Klemensiewicza, literatura tatrzańska żadnych prac, dotyczących fotografji wysokogórskiej, nie posiada.

Stanowisko, jakie przed 15 laty zajął w swem dziełku Klemensiewicz, doradzając taternikom — zamiast aparatów 9 × 12 *cm*, uchodzących wtedy za najmniejsze z dopuszczalnych do użytku na wycieczkach tatrzańskich — aparaty $6^1/_2$ × 9 *cm*, było wysoce postępowe, niemal „rewolucyjne", jeśli zważymy, że ogół alpinistów-fotografów znajdował się jeszcze wówczas pod wpływem poglądów dra A. Mazel'a *(„La photographie artistique en montagne")*, podającego obszerną instrukcję co do zaopatrzenia się na wyprawy alpejskie w „lekki" (!) aparat 24 × 30 *cm*, E. Terschak'a *(„Die Photographie im Hochgebirge")*, wychwalającego Kodak 12 × 16 *cm* jako „poręczny" (!) górski aparat „kieszonkowy" (!) i innych autorów, polecających do zdjęć fotograficznych w górach formaty: 10 × 15, 13 × 18 i 18 × 24 *cm*. Dziś zasada posługiwania się w Alpach małemi aparatami (na płyty $4^1/_2$ × 6 i $6^1/_2$ × 9 *cm*, tudzież na błony zwijane 4 × $6^1/_2$, 6 × 6, 5 × 8 i 6 × 9 *cm)* i dokonywania niemi zdjęć momentalnych, z ręki, a następnie powiększania uzyskanych w ten sposób negatywów, której prekursorem był u nas Klemensiewicz, zwyciężyła dawne uprzedzenia do małych aparatów, czego objawem jest — między innemi — ukazanie się w ostatnich czasach na rynku fotograficznym mnóstwa przeróżnych aparatów tego właśnie typu, nadzwyczaj szybkie rozejście się I-szego wydania książeczki dra P. Ziegler'a pt. *„Zeitgemässe Gebirgsphotographie mit besonderer Berücksichtigung der Kleinkamera"* (II-gie wydanie: Wiedeń, 1927) i sąd, jaki wygłasza o małych aparatach i o ich zastosowaniu do górskiej fotografji, w najnowszem (1928) wydaniu znanego swego podręcznika *(„Hochgebirgs — und Winterphotographie")* — dr. Kuhfahl. Genezy owego „zwycięstwa" należy szukać w głębszem niż dawniej wniknięciu w niektóre działy teorji optyki i perspektywy fotograficznej (długość ogniskowej soczewki, ostrość planów i jej granice itd.), w ogromnem udoskonaleniu budowy zarówno małych aparatów, jak i aparatów do powiększeń, we względach oszczędnościowych i ... w noszeniu przez współczesnego alpinistę-fotografa całego swego rynsztunku wysokogórskiego i fotograficznego — samemu.

Przechodząc do zaznajomienia czytelników ze wzmiankowanemi na wstępie, nowemi typami aparatów fotograficznych, zgóry uprzedzam, że wystarczają one wyłącznie tylko na potrzeby taterników, niemających „wyższych" aspiracyj fotograficznych, którzy — podporządkowując całkowicie swe cele fotograficzne celom ściśle taternickim — pragną wzamian

zato móc fotografować w Tatrach z o ile można jak najmniejszym nakładem pracy, bez wszelkich zawiłych manipulacyj i zabierać z sobą — w kieszeni noszony — aparat nawet na najdłuższe i najtrudniejsze wycieczki. *)

Pierwszą grupę (patrz N-ry 1—7 podanej niżej tablicy porównawczej) rozpatrywanych tu przeze mnie kamer tworzą aparaty do zdjęć pojedyńczych (n i e kinematograficznych!) na normalnym, dziurkowanym filmie kinematograficznym, szerokości 35 *mm* (oprócz aparatu „Eka", przeznaczonego na n i e d z i u r k o w a n y film kinematograficzny), wkładanym do cylindrycznej kasetki aparatu albo w ciemni, w zwoju o pewnej określonej długości (np. do aparatu „Esco" — 7,5 *m*, na której to długości wstęgi filmowej mieści się 400 zdjęć formatu 17 × 24 *mm*, do aparatu Le cent vues" — 2 *m*, na 100 zdjęć 18 × 24 *mm*, do aparatu „Leica" — 1,6 *m*, na 36 zdjęć 24 × 36 *mm* itd.), albo też przy dziennem świetle, w specjalnych szpulkach (na 24 do 100 zdjęć, zależnie od ich formatu i od aparatu), co wszakże wypada znacznie drożej. Aparaty „Esco" i „Eka", z powodu sporych swych wymiarów (zwłaszcza długości), a poczęści i dość pokaźnej wagi, nie mogą już być nazwane — w całem rozumieniu tego słowa — „kieszonkowemi", aparat zaś „Le cent vues", choć niewielki, jest — w zestawieniu z innemi aparatami tej grupy — nieproporcjonalnie ciężki. „Bobette" i „Amourette" są małe, lekkie i tanie. Te same zalety, prócz niskiej ceny, wykazuje — w jeszcze wyższym stopniu — i „Le Furet". Najbardziej precyzyjnym z pośród będących w mowie aparatów, ale też i najdroższym z nich, jest aparat „Leica". Wszystkie one zmontowane są z soczewkami anastygmatycznemi (rozmaitych konstrukcyj). Wady tych aparatów są następujące: zbyt wielkie (taternikowi zgoła niepotrzebne, bo w złą pogodę zazwyczaj nie odbywa on wycieczek i nie fotografuje!) siły świetlne ich soczewek (wyjątek stanowią „Cassar" 1 : 6,3 i „Trioplan" 1 : 6,3), w przeważającej liczbie aparatów („Esco", „Le cent vues", „Bobette" i „Leica") za długie — w stosunku do danych formatów zdjęć — ogniskowe soczewek, brak (we wszystkich tych aparatach) urządzenia, pozwalającego na decentrację soczewki (tj. przesuwanie jej w górę, na dół i w bok, co w górach, szczególnie przy w z g l ę d n i e za długiej ogniskowej soczewki, a zatem małym kącie tej ostatniej, jest nader ważne) i wreszcie — trudność nabycia u nas do nich odpowiednich s z p u l e k filmowych. Zaletami ich są: b e z w z g l ę d n a krótkość ogniskowej soczewek, oraz taniość, minimalna waga i — na jakość powiększeń wielce dodatnio wpływające — b a r d z o d r o b n e z i a r n o filmu kinematograficznego.

---

*) Należy tu bez ogródek i z całym naciskiem zaznaczyć, że d l a t e j k a t e g o r j i turystów rozstrzygającym czynnikiem przy wyborze aparatu powinna być jego w a g a, w praktyce bowiem bardzo często się zdarza, że posiadacz znakomitego lecz ciężkiego aparatu, wyruszając na długą, okrężną wycieczkę tatrzańską, siłą rzeczy zmuszony jest rozstać się z nim ... już w domu, a jeżeli zabierze go z sobą w góry, pozostawia go potem zwykle w schronisku, w najlepszym zaś razie — łącznie z workiem, butami i czekanem — u wstępu na skały i rzadko kiedy wynosi na wierzchołek (chyba z konieczności, przy przechodzeniu przez jakiś szczyt czy przełęcz w pełnem „uzbrojeniu" taternickiem, z jednej doliny do drugiej). To jest główną przyczyną, że tak mało widzimy u nas fotografij, ilustrujących szczegóły dróg skalnych i momenty wspinaczkowe. Co do kamer na płyty (nawet $6^1/_2 \times 9$ *cm*!) zauważyć trzeba, że poza ciężarem samego aparatu jeszcze przecież i waga kaset z płytami, zapasowych płyt, a ewentualnie także i statywu oraz różnych innych rekwizytów fotograficznych daje się taternikowi we znaki.

Nr. porządkowy	Nazwa aparatu	Firma	Ilość zdjęć	Wielkość zdjęć (w mm)	Wymiary aparatu (w mm)	Waga aparatu (w gr)	Soczewka			Migawka	Cena (loco fabryka)
							Nazwa	Siła świetlna	Długość ogniskowej (w mm)		
1	Esco	W. Stübiger Drezno	400	17×24	175×60×60	500	Cassar Cassar	1 : 6,3 1 : 3,5	35 35	Pronto Compur	115 mk. niem. 165 mk. niem.
2	Le cent vues	Établissements Mollier Paryż	100	18×24	120×50×50	650	Hermagis	1 : 3,5	40	Centralna	836 fr. fr.
3	Bobette	Zeiss Ikon A.-G. Drezno	24	22×33	114×65×47	340	Ernoplast	1 : 4,5	50	Automat A	65 mk. niem.
4	Leica	E. Leitz Wetzlar	36	24×36	132×55×30	425	Elmar	1 : 3,5	50	Roletowa Compur	230 mk. niem. 192 mk. niem.
5	Le Furet	E. Guérin, C. Pingault & Cie Paryż	50	24×37,5	86×48×46	275	Hermagis	1 : 4,5	42	Centralna	715 fr. fr.
6	Amourette	Oesterreichische Telephon-Fabrik, Wiedeń	50	25×31	100×50×43	330	Trioplan Helioplan	1 : 6,3 1 : 4,5	35 35	Pronto Compur	71 szyl. austr. 134 szyl. austr.
7	Eka	Société des Établissements Krauss, Paryż	100	30×45	150×50×45	580	Tessar Tessar	1 : 3,5 1 : 4,5	50 50	Compur Compur	1354 fr. fr. 1354 fr. fr.
8	Rollette	G. A. Krauss Stuttgart	6	50×80	128×65×25	290	Rollar Tessar	1 : 6,3 1 : 6,3	90 90	Pronto Compur	48 mk. niem. 126 mk. niem.
9	Simplo	Kern & Co A.-G. Aarau	6	50×80	130×70×26	285	Kernar Kernon	1 : 6,3 1 : 4,5	85 80	Pronto Compur	86 fr. szw. 140 fr. szw.
10	Cocarette	Zeiss Ikon A.-G. Drezno	6	50×80	135×70×33	370	Trinastigmat Tessar	1 : 6,8 1 : 6,3	90 90	Derval Compur	58 mk. niem. 110 mk. niem.
11	Rollfilm	Voigtländer Brunszwik	6	50×80	141×70×29	350	Voigtar Heliar	1 : 6,3 1 : 4,5	90 83	Embezet Compur	48 mk. niem. 110 mk. niem.

Drugą grupę (patrz N-ry 8—11 tablicy porównawczej) tworzą aparaty na zwykłe błony zwijane, o formacie zdjęcia 5×8 *cm* (jest to właściwie angielski format 2×3 *cale*, określany przez jednych fabrykantów jako 5×8 *cm*, przez innych zaś jako 5×7½ *cm*). Kamery te, stanowiące typ pośredni co do formatu między aparatami 4×6½ *cm* a aparatami 6×9 *cm* i — zasadniczo — nie różniące się od nich budową, dopiero odniedawna wyrabiane, zyskały już sobie popularność, dzięki temu, że dają obrazek o przeszło 40% większy co do powierzchni od formatu 4×6½ *cm*, pomimo że niektóre ich modele (np. „Rollette“ i „Simplo“) są od wielu aparatów 4×6½ i 6×6 *cm* mniejsze i lżejsze (a od aparatów 6×9 *cm* wybitnie mniejsze i dwa razy lżejsze!). W tablicy porównawczej wymieniłem jedynie takie aparaty 5×8 *cm*, które posiadają wizjer ramkowy (tzw. ikonometr), gdyż tylko ten rodzaj wizjerów przedstawia wartość dla taternika, przyczem uwzględniłem kamery tańsze, o anastygmatach dialitycznych, trójsoczewkowych (systemu Cooke'a) i migawkach prostszych (zupełnie zresztą do celów naszych wystarczających), oraz aparaty droższe, o soczewkach pierwszorzędnych marek (np. „Tessar“ i „Heliar“), z najlepszą centralną migawką („Compur“) Wadą tych aparatów jest niemożność decentracji ich soczewek, zaletą — stosunkowo duży format zdjęcia, przy nadzwyczaj małych rozmiarach i wprost znikomym ciężarze aparatu.

Poddawszy szczegółowej analizie wszystkie wady i zalety opisanych powyżej kamer i przeprowadziwszy między obu grupami tych ostatnich krytyczną paralelę, można — jak sądzę — wypowiedzieć zdanie, że — z taternickiego punktu widzenia — niema dziś jeszcze podstawy do przyznania skonstruowanym dotąd typom aparatów na filmy kinematograficzne zdecydowanej wyższości nad małemi aparatami na zwykłe błony zwijane, aparaty bowiem pierwszej z tych grup są przeważnie większe i cięższe od aparatów 4×6½, 6×6 i 5×8 *cm*, różnica zaś w wadze błon kinematograficznych i zwykłych jest zbyt mała, aby w praktyce trzeba było się z nią liczyć. Pozostaje więc na szali zalet owej pierwszej grupy aparatów tylko taniość materjału filmowego do nich. Zato obrazki 4×6½, 6×6 i 5×8 *cm*, jakkolwiek — bezwzględnie biorąc — nikłe, mogą jednak niekiedy już same przez się obudzić zainteresowanie taternika, co ze zdjęciami formatu znaczka pocztowego — bez uprzedniego ich powiększenia - chyba się nie zdarza...

Janusz Chmielowski.

Nowy przyczynek do kwestji drugiego polskiego wyjścia na Mont Blanc.

Autorowie dotychczas ogłoszonych w „Taterniku“ przyczynków do kwestji „S t o p p e n a“ są zgodni co do tego, że jego nazwisko właściwe brzmi: „H o p p e n“. To zdanie pp. Dürra i Świerza podziela p. Brensztejn, który idzie dalej i identyfikuje alpinistę Karola Hoppena — z Karolem Gabrjelem Hoppenem, obywatelem ziemskim, właścicielem Radziszewka, w powiecie wiłkomierskim, urodzonym w r. 1808, zmarłym w r. 1875.

Tymczasem Karol Estreicher w swej „Bibljografji Polskiej", będącej istną kopalnią danych biograficznych, podaje cenną wskazówkę, pozwalającą na identyfikację alpinisty z innym, równocześnie żyjącym, Karolem Hoppenem.

Mianowicie w t. II-im „Bibljografji Polskiej", na str. 147, podaje Estreicher następującą wiadomość:

„Hopppen Karol (obywatel Radomia † 1849). Opis wejścia na górę Mont Blanc (rękopis)."

Skąd wiadomość tę wziął Estreicher? Niestety, tego nie umiemy wyjaśnić. Możemy tylko podać kilka bliższych informacyj o wymienionym przez niego Hoppenie.

F. M. Sobieszczański, który w r. 1851 odbył „wycieczkę archeologiczną w niektóre strony gubernji radomskiej" i pod takim tytułem opisał ją w „Bibljotece Warszawskiej" z r. 1851, wzmiankuje dwukrotnie*) o Karolu Hoppenie, obywatelu i aptekarzu radomskim, zmarłym w r. 1849, właścicielu pięknego zbioru obrazów flamandzkich i włoskich mistrzów, oraz malarzy, którzy pracowali w Polsce w 18-ym wieku, jak Lampi, Bacciarelli. Hoppen był jednak nietylko zbieraczem, był on również malarzem, a kilka jego obrazów religijnych widział Sobieszczański w radomskim kościele farnym.

Z innych źródeł podaje te wiadomości Edward Rastawiecki w t. I-ym „Słownika malarzów polskich", wydanym w r. 1850 i opiera się on na trzech wzmiankach w „Kurjerze Warszawskim" (Nr. 10 z r. 1842 oraz N-ry 5 i 13 z r. 1850). Zapoznanie się z temi wzmiankami pozwala nam na następujące odtworzenie życiorysu Karola Hoppena:

Urodzony w r. 1789, ukończył szkołę Pijarów w Radomiu, studjował przyrodę w uniwersytecie warszawskim, odbywał większe podróże po Europie środkowej, był m. i. w Dreznie i w Rzymie. Stale mieszkał w Radomiu, gdzie miał aptekę i gdzie zajmował się ubocznie malarstwem i kolekcjonerstwem. Część jego zbiorów nabył następnie Tomasz Zieliński, po którym znów część zbiorów przeszła do znanego malarza Józefa Brandta. Zostawił zamężną córkę, której nazwiska nie znamy. Był z zamiłowania i z wykształcenia botanikiem. Może ta jego specjalność tłumaczy poczęści jego wyprawę na Mont Blanc. Zmarł 27 grudnia 1849 r.

Samego opisu wyprawy nie znaleźliśmy. Nie ma go — o ile wiemy — zbiór rękopisów Bibljoteki Uniwersytetu Warszawskiego, ani Akademja Umiejętności, ani Bibljoteka Jagiellońska, ani Ossolineum, ani Bibljoteka Krasińskich. Może pozostał w Radomiu? Wdzięczne zadanie mają taternicy, osiedli w Radomiu, którym może powiedzie się dotrzeć do rodziny po Karolu Hoppenie, a może i do jego rękopiśmiennego opisu wyprawy na Mont Blanc.**)

W. Olszewicz i S. Reychman

---

*) T. IV, str. 397 i 412. Praca ta wyszła również w r. 1852, w odbitce, której nie mamy pod ręką.

**) Za Hoppenem z Radomia przemawia również wzmianka w dzienniku p. d'Angeville o pochodzeniu naszego podróżnika „z okolic Warszawy" (p. „Taternik" z 1928 r., Nr. 1, str. 11), która to uwaga do Hoppena z Kowieńszczyzny jedynie tylko z „naciągnięciem" dałaby się zastosować. *Red.*

Skalne drogi.

Niebieska Turnia. Wyjście wsch. granią. Od czasu ukazania się w 4-tym nrze „Taternika“ z 1910 r opisu wyjścia wsch. granią Niebieskiej Turni, dwukrotnie zmieniła się konfiguracja najniższej, 6-metrowej ścianki dolnego uskoku będącej w mowie grani. Wskutek pierwszego oberwania się skał, po pr. stronie uskoku utworzyła się rysa, umożliwiająca stosunkowo najłatwiejszy sposób pokonania wzmiankowanej wyżej 6-metrowej ścianki, toteż „Tatry Wysokie“ Chmielowskiego i Świerza, opisując przejście wsch. grani, ten właśnie sposób uwzględniły (p. drogę 31). Już jednak w tym samym sezonie letnim 1925 r., w którym wyszedł II tom „Tatr Wysokich“, runęła dalsza, rysą od masywu odstrzelona, partja skalna ścianki, skutkiem czego opis przewodnikowy stał się nieaktualny. Po tych, jedynych w swym rodzaju, transfiguracjach skalnych, pozostał dzisiaj, jako najwłaściwszy sposób przejścia omawianej ścianki, warjant, znaleziony dnia 8 września 1909 r., przez Z. Klemensiewicza i M. Świerza, opisany w nrze 4-tym „Taternika“ z 1910 r., lecz pominięty — jako trudniejszy i ryzykowniejszy — w II tomie „Tatr Wysokich“. Ze względu na wielką popularność, jaką posiada w kołach taternickich wsch. grań Niebieskiej Turni, przypominam na tem miejscu powyższy warjant, w cokolwiek zmienionej redakcji:

Z Niebieskiej Przełęczy w l., na znajdujący się na wysokości jej szczerby, w ścianie, zwróconej ku żlebkowi, który spada z przełęczy ku Dol. Pięciu Stawów Polskich, uwydatniający się stopień (poniżej — czerwonawa plama), z którego 1 ½ - metrowy krok — pod nieco przewieszonemi i odpychającemi skałami (chwyty od dołu) — na wybrzuszony stopień (na stopień ten można również wciągnąć się od dołu, na rękach) i zaraz na krawędź tępego, wyodrębniającego się ze ściany, żeberka. Niem w pr., wskos ku górze, po dość gładkich skałach, i wreszcie pęknięciem, ponad najniższą ściankę uskoku, skąd dalej według drogi 31 Przewodnika Chmielowskiego i Świerza. *M. Świerz.*

Kozi Wierch. Warjant na pn. ścianie. Podpisani, z B. Czechem i W. Dorazilem, dnia 11 września 1927 r.

W miejscu, w którem droga pierwszych zdobywców — po przejściu skośnego komina — zaczyna posuwać się wsch. z dwu wielkich, w górnej części ściany wyodrębniających się, grzęd, opuszczamy ją, zwracając się wskos w pr., do depresji, która żłobi się między wspomnianemi grzędami. Depresją tą wgórę, z odchyleniem w pr., poprzez stopnie, rynienki, skałki i progi, pod szczytowy pas ścianek, poprzez który, dość trudno, wprost na wierzchołek (leży on cokolwiek na pr. od wgłębienia depresji i oglądany z niej nie stanowi — pozornie — najwyższego punktu grani szczytowej).

Warjant częściowo dość trudny, lecz wiodący bardziej w linji spadku wierzchołka, niż droga pierwszych zdobywców.

Wobec okoliczności, że pn. ściana Koziego Wierchu staje się „modna“, zwracamy uwagę, że hak, wbity przez jednych z naszych poprzedników, w sąsiedztwie stanowiącej najtrudniejsze miejsce w drodze, kilkumetrowej ścianki, znajduje się na fałszywem miejscu, na pr. od linji, w której ową ściankę należy pokonywać.

K. Schiele. *M. Świerz.*

Wołowa Szczerbina. I. zejście ku pn.-wsch. i I. przejście. Podpisani, dnia 20 sierpnia 1926 r.

Wołową Szczerbiną zwie się mało wybitna, lecz wcale charakterystyczna, z obu bowiem stron oryginalnemi, w postaci rogów sterczącemi, turniami obramowana, przełączka, położona w Wołowym Grzbiecie, mniej więcej w połowie grani, łączącej Wołową Turnię z Hińczową Turnią.

a) Wyjście od pd. Od Żabiego Stawu Mięguszowieckiego Wyżniego ku pd.-zach., wgórę, po trawkach, gruzach i upłazkami przetykanych, dość stromych skałkach, na płaskie, tuż poniżej Wołowcowej Przełęczy położone, piętro. Stąd ku pn., wprost wgórę, niezbyt spadzistym, trawiastym, kamieniami usianym stokiem, na Wołową Szczerbinę, której wcięcie łatwo rozpoznać po — wzmiankowanych we wstępie — przełączkę naszą obramiających, turniach (1 godz.). Droga b. łatwa.

b) Zejście ku pn.-wsch. Z Wołowej Szczerbiny ku pn.-wsch., mało wybitną, stromą, skalistą rynną 15 m wprost wdół, aż osiągniemy b. wybitny (w Przewodniku J. Chmielowskiego i M. Świerza, w opisie drogi 430 scharakteryzowany), zachód, który zaczyna się tuż poniżej wcięcia, położonego w grani bezpośrednio na pn.-zach. od naszej przełączki i ciągnie się wskos w pr., ku dołowi, wpoprzek pn. ścian Wołowego Grzbietu, poczem — przekształciwszy się w żleb, a następnie w półeczki skalne i szutrowe — osiąga płaty śnieżne poniżej dolnego ujścia, z Żabiej Przełęczy ku pn.-zach. zbiegającego, żlebu. Zachodem tym, niezmiernie oryginalnym i efektownym (wspaniałe otoczenie skalne), w pr., obniżając się jużto nieznacznie, jużto bystrzej i dążąc bądź dość eksponowanemi, wąskiemi, piarżystemi, galeryjkami, bądź szerokiemi, trawiastemi, półkami, w jakie nasz zachód się przemienia. Przewinąwszy się w ten sposób poprzez kilka siodełek, docieramy do miejsca, gdzie łączymy się z drogą 430 Przewodnika J. Chmielowskiego i M. Świerza, która zwraca się tutaj — z zachodu — na ściany, położone bezpośrednio na pn.-zach. od masywu Wołowej Turni. Stąd drogą 430 na usypiska pod Żabią Przełęczą (1 godz.). Droga nieco trudna i dość eksponowana, lecz zajmująca i wysoce oryginalna.

Przejście przez Wołową Szczerbinę stanowi — dla wprawniejszych turystów — krótkie i dogodne połączenie kotła Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem z kotliną Żabich Stawów Mięguszowieckich.

J. Chmielowski. Z. Klemensiewicz. M. Świerz.

Czeska Turnia. I. wyjście zach. granią. Podpisany, z drem D. Reichartem, dnia 24 września 1920 r.

Czeska Turnia — widziana z przełęczy między jej masywem a Niżniemi Rysami — przedstawia imponujący widok. Spiętrzająca się stąd nakształt ściany, zach. jej grań, rozpoczyna się — bezpośrednio ponad przełęczą — kilkumetrowym, gładkim stopniem. Z leżącego u stóp naszej grani, odpękniętego bloku — na ścianę i po skąpych jej punktach oparcia kilka kroków poziomo w pr., poczem od pr. strony wgórę, na małą platformę, na wierzchu stopnia. Stąd b. stromą ścianą ok. 12 m wprost wgórę, aż do poziomu — nieco na l. od nas położonej — dużej terasy, którą osiągamy wkońcu krótkim trawersem. Tu główne trudności mamy już poza sobą. Z terasy łatwym, trawiastym terenem i poprzez luźne głazy stale wskos w pr., ku górze, na grań szczytową, która tylko na początku i w połowie swej długości tworzy po jednej, stromej, gładkiej ściance, poza tem jednak

ciągnie się ku wierzchołkowi w postaci wąskiej, łagodnie dźwigającej się, krawędzi (z przełęczy $^3/_4$ godz.). Piękna, w dolnej części grani trudna, wspinaczka. *Dr. Gy. Komarnicki.*

Smocza Przełączka. I. zejście w lecie do Dol. Siarkańskiej. Podpisani, dnia 22 sierpnia 1927 r. *)

Ze Smoczej Przełączki spada ku pd.-wsch. (w Dol. Siarkańską) wąziutki, nieco kręty i b. stromy, urwistemi ścianami obramowany, żlebek. Nim wdół, poprzez kruche skałki, stopnie, progi i małe platformy, aż do miejsca, gdzie, rozszerzywszy się, tworzy on — poniżej stromych płyt — 8-metrowy, pionowy próg. Przezwyciężamy go wprost, bez zjazdu na linie, rozpierając się w płytkim kominku, który żłobi się w ścianie progu (u spodu zwis na rękach poprzez nieco przewieszoną ściankę). Poniżej progu dno żlebu staje się szerokie, piarżyste i po 30 m uchodzi na usypiska Dol. Siarkańskiej ($^3/_4$ godz.).

Droga dość trudna, z powodu kruchej skały wymagająca dużej uwagi, nadająca się jednak również do wyjścia i skutkiem tego czyniąca zupełnie bezwartościowym sposób wyjścia na Smoczą Przełączkę, znaleziony przez G. Dyhrenfurth'a i H. Rumpelt'a w dniu 16 września 1906 r. (p. drogę 525 w Przewodniku J. Chmielowskiego i M. Świerza).

J. Chmielowski. *A. Ferens.* *M. Świerz.*

Ponad Ogród Turnia. I. przejście pn.-zach. grani — w wyjściu.**) Podpisany, z drem D. Reichart'em, dnia 10 lipca 1923 r.

Z Przełączki nad Kotłem (ok. 2425 m) ku pd.-wsch., parę metrów skośnie w l., ku górze, do początku półki, którą kilka kroków, poczem w pr., w górę, na grań, już poza wierzchołkiem 1-szej turni naszej grani. Stąd — od tyłu — stromo, na wznoszący się o ok. 6 m ponad nami, wierzchołek owej 1-szej turni (ok. 2440 m).***) Dalej — zrazu stromemi i płytowemi, później jednak trawiastemi stopniami, w dół, na siodełko poza 1-szą turnią, z którego po blokach nieco w górę, do podnóża przewieszonego uskoku, skąd półeczką po stronie Dol. Wielickiej do płytkiej rynny, wywodzącej na grań we wcięciu między 2-gą turnią, a sterczącym na pn.-zach. od niej, zębem i wreszcie krótkim koniem skalnym, oraz dobrze uwarstwioną ścianką, na wierzchołek 2-giej turni (ok. 2415 m). Z niego bystro opadającą, lecz dobre stopnie wykazującą granią na najbliższe siodełko, a następnie kruchą granią na wierzchołek mało wybitnej, grzebieniowatej, 3-ciej turni (ok. 2405 m), z którego potrzaskanemi skałami wdół, na siodełko, położone bezpośrednio u stóp dziko spiętrzającego się, wierzchołka Ponad Ogród Turni. Z siodełka tego kilka metrów ukosem w l., ku górze, do płytkiej, pionowej, cokolwiek na l od ostrza grani wciętej rysy, przy pomocy której znów na grań, koło małej platformy. Stąd wybrzuszoną ścianką skośnie w pr., w górę, a potem poprzez kilka spadzistych stopni — tuż na l. od krawędzi grani — wgórę, na grań, na terasę w postaci siodła, powyżej której grań nasza wznosi się ok.

---

*) W sprawie pierwszego zejścia ze Smoczej Przełączki do Dol. Siarkańskiej p. przypisek 1-szy na str. 16 „Taternika" z br..

**) Pierwszego przejścia tej grani w zejściu dokonali: K. L. Horn i Gy. Szépligeti, dnia 20 sierpnia 1910 r. (p. „Przewodnik po Tatrach" J. Chmielowskiego, tom III, str. 133). *Red.*

***) Jak widać z pomiaru dra Komarnickiego — turnia ta jest wyższa o ok. 15 m od Ponad Ogród Turni. *Red.*

6 m wysokości liczącą, niemal pionową, płytą. W celu jej obejścia — z terasy 3 m po stronie Dol. Wielickiej wdół, na gzyms, zwężający się po paru metrach w listwę, doprowadzającą do prawie pionowej rysy, którą na grań, już powyżej owej płyty. Przed nami — kilkumetrowej wysokości blok wierzchołka Ponad Ogród Turni. Popod nim krótkim trawersem w l., poczem z małej nyży na przesklepiający ją głaz i po niewielu krokach na wierzchołek Ponad Ogród Turni (2425 m) [2 $^1/_4$ godz.]. Droga trudna lecz interesująca. *Dr. Gy. Komarnicki.*

Kopa Lodowa. Warjant w górnych partjach pd. ściany. Podpisany, z bratem swym Alfredem i M. Szczuką, dnia 26 lipca 1927 r.

Z drugiej platformy (mylnie zwanej w opisach nyżą) głównego żlebu pd. ściany — żlebem owym jeszcze 20 m (dość trudny próg skalny), ku najwyżej położonej platformie, pod spiętrzonemi ścianami, skąd w pr., łatwą, szeroką, nieco wznoszącą się, półką, na ograniczające żleb, wybitne, urwiste żebro (wygodne, trawiaste stanowisko) i niem wzrost wgórę, przezwyciężając (po kilku, dość trudnych, metrach wspinaczki) częściowo przewieszone, gładkie, eksponowane zacięcie (nadzwyczaj trudno). Dalej w zasadzie krawędzią żebra, wśród stopniowo zmniejszających się trudności, na pd.-wsch. grań, którą osiągamy powyżej górnego wylotu opuszczonego przez nas, głównego żlebu pd. ściany. Warjant b. piękny, godny powtórzenia. *J. A. Szczepański.*

Jastrzębia Przełęcz. I. wyjście z Dol. Jastrzębiej. Podpisany, z A. Czermińskim, dnia 31 maja 1927 r.

Od miejsca, w którem piargi najwyżej pod pd. urwiska Jastrzębiej Turni pdchodzą, ciągnie się wskos w l., ku górze, w kierunku Jastrzębiej Przełęczy (a raczej w kierunku rozległych trawników, położonych poniżej zach. grani Jastrzębiej Turni), stromy żleb. Tuż na l. od dolnego wylotu żlebu na biegnącą ku górze, trawiastą półkę. z której 2-metrową ścianką na następną półkę, zbliżającą nas wąziutkim, poziomym trawersem (w jednem miejscu zawiśnięcie na rękach, na odpękniętym bloku) do spadzistej rynny, przedstawiającej kulminacyjną część wspomnianego na wstępie żlebu. Stąd osiągamy wzmiankowane uprzednio, rozległe trawniki, albo przechodząc ową rynnę w całej jej długości (trudno; w dole — podcięte trawki, w górze — krucha i niekorzystnie uwarstwiona skała), albo wspinając się naprzód małem żeberkiem (rodzaj konia skalnego), ograniczającem naszą rynnę od pr. strony, a później — przekroczywszy ją — b. stromą, wykazującą jednak chwyty i stopnie, l. ścianką. Z trawników łagodnie wznoszącym się, piarżystym żlebem, b. łatwo, wprost na przełęcz (1 $^1/_4$ godz.). Droga dość trudna. *J. A. Szczepański.*

Pomiary niektórych wzniesień w Tatrach Zachodnich.

W zapiskach z odbytego w październiku 1911 r., w towarzystwie dra Stefana Komornickiego, przejścia granią Tatr Zachodnich od Tomanowej Przełęczy po Rohacze — posiadam szereg odczytów aneroidowych. Ponieważ publikowane dotychczas mapy tych okolic podają tylko ograniczoną ilość

pomiarów wzniesień, a w szczególności pomijają wysokości przełęczy, z reguły głęboko wciętych, nie będzie bez znaczenia dla turysty ogłoszenie rzeczonych pomiarów. Są one oczywiście tylko przybliżone, błąd jednak obraca się w granicach kilku, najwyżej kilkunastu, metrów.

	metrów
Przełęcz między Tomanową Polską (1979 m) a Smreczyńskim (2068 m)	1789
Przełęcz między Smreczyńskim a Kamienistą (2128 m)	1907
Przełęcz między Błyszczem (2163 m) a Banistem	1945
Baniste I. wierzchołek (wschodni)	1968
„ II. „ (najwyższy)	1978
„ III. „ (zachodni)	1960
Przełączka na zachód od Banistego	1938
Miejsce, w którem przez główną grań Tatr przechodzi ścieżka z Ornaku do Doliny Raczkowej.	1960
Przełęcz pod Starorobociańskim Szczytem (2170 m) [na wschód od niego]	1938
Kończysta nad Jarząbczą*)	2000
Przełęcz między Kończystą a Jarząbczym (2142 m) . . .	1950
Przełęcz na zachód od Jarząbczego	1810
Punkt zwornikowy z granią północną do punktu 1762 m . .	1950
Przełęcz na wschód od Wołowca (2065 m)	1830
Przełęcz między Wołowcem a Rohaczem Ostrym (2072 m) . .	1910
Przełęcz między Rohaczem Ostrym a Rohaczem Płaczliwym (2126 m)	1955
Punkt zwornikowy na zachód od Rohacza Płaczliwego (z granią boczną ku południowi)	2000
Przełęcz między Rohaczem Płaczliwym a Zielonym Przednim Wierchem (2163 m)	1955
Rohaczowy Staw	1545
Schronisko w Dolinie Rohackiej	1345

R. Kordys.

Sprawy Sekcji.

Jubileusz 25-lecia Sekcji Turystycznej P. T. T. odbędzie się w sierpniu br., w Zakopanem, według podanego niżej programu:

Wtorek, dnia 14 sierpnia, o godzinie 20-tej: zebranie klubowe w restauracji St. Karpowicza.

Środa, dnia 15 sierpnia, o godzinie 10-tej, w Dworcu Tatrzańskim: Jubileuszowe Ogólne Zebranie członków Sekcji Turystycznej P. T. T. z następującym porządkiem dziennym: 1) zagajenie; 2) przemówienia delegatów; 3) sprawozdanie z działalności Zarządu Sekcji; 4) sprawozdanie kasowe; 5) wybór nowego Zarządu Sekcji; 6) wnioski i interpelacje.

Po zebraniu wspólny obiad.

W dniach od 16—19 sierpnia: wycieczki klubowe w Tatry.

Zarząd Sekcji Turystycznej P. T. T. zaprasza niniejszem najserdeczniej wszystkich członków Sekcji i wszystkich taterników do wzięcia udziału w powyższym obchodzie jubileuszowym.

*) Kończysta nad Jarząbczą oznaczona jest na mapie sztabowej kotą 2071 m. Jest to niewątpliwy błąd. Kota powyższa jest co najmniej o 60 do 70 m za wysoko obliczona.

Wkładki do Sekcji Turystycznej P. T. T. Zarząd Sekcji uprasza członków Sekcji o wpłacenie wkładki członkowskiej za rok bieżący (1928), w kwocie 5 złotych. Członkowie, zalegający z wkładkami, zechcą na zupełne umorzenie wszelkich zaległości, oraz tytułem wkładki bieżącej (za 1928 r.) wpłacić łączną kwotę 10 złotych.

Blankiet P. K. O. załączamy do niniejszego numeru „Taternika". Wkładki można również wpłacać w biurze P. T. T. w Zakopanem.

Niecłonkowie Sekcji Turystycznej P. T. T., pragnący stale otrzymywać „Taternika", zechcą wpłacić, posiłkując się załączonym blankietem P. K. O., tytułem prenumeraty za 1928 r., kwotę 5 złotych, wpisując na środkowej części blankietu (dowodzie wpłaty) słowo „prenumerata".

Z Sekcji Taternickiej A. Z. S. w Krakowie.

Sekcja Taternicka A. Z. S. w Krakowie — na miejsce dawnych referatów z zasadniczych działów nauki o taternictwie – zaprowadziła już w ubiegłym roku akademickim herbatki towarzyskie, z dyskusjami na rozmaite aktualne tematy, nasunięte członkom przez samo życie.

W bieżącym roku akademickim zebrania te zostały zainaugurowane referatem S. K. Zaremby na temat: *„Uniwersalizm i indywidualizm w taternictwie"*. Mówca, wychodząc z założenia, iż stosunek osobisty do gór uwarunkowany jest przez ogólny światopogląd taternika, stwierdził, iż w taternictwie również znajduje swoje odbicie aktualna dzisiaj walka filozofji i psychiki uniwersalistycznej z indywidualistyczną. Jego zdaniem, indywidualiści chodzą po górach przedewszystkiem dla przyjemności, często dla estetyzowania, a zawsze — w większej lub mniejszej mierze — dla zadowolenia własnej ambicji, co przejawia się w tem, co jeden z taterników-indywidualistów określił jako „wielkopański stosunek do gór". Natomiast uniwersaliści szukają w górach konstruktywnej walki z siłami przyrody, walki, stanowiącej niejako symbol duchowego pędu wzwyż i dążą do męskiego czynu, który wydobywa na jaw najbardziej wartościowe elementy człowieka. Nie wchodząc w zwalczanie samych doktryn indywidualistycznych, referent przedstawił szereg ujemnych — jego zdaniem — skutków indywidualistycznego stosunku do gór, jako to: tak modne dziś pogardzanie drogami łatwiejszemi, chodzenie tylko przy pogodzie, niedbały sposób odbywania wypraw, powodujący rozmaite przygody, niewynikające wcale z istoty rozwiązywanych problemów (np. zbędne noclegi w skałach), oraz zabieranie na wyprawy miłych, lecz niesamodzielnych towarzyszek.

W ożywionej dyskusji atakowano prelegenta dość energicznie. Jedynie prof. Goetel poparł częściowo jego stanowisko, uznając konieczność bardziej idealnego ustosunkowania się do przyrody górskiej i nawiązując do zagadnienia jej ochrony, natomiast – na równi z innymi — zwalczając krytykę niepotrzebnych przygód. Zagadnienia, związane z tą ostatnią kwestją, dostarczyły tematu jednemu z późniejszych zebrań. Z krótkiej dyskusji na temat taternictwa kobiecego, która wywiązała się z krytycznych słów p. Zaremby (dotyczących zresztą tylko niesamodzielnych taterniczek) zrodziły się wypowiedziane 2 grudnia zr. *„Uwagi o taternictwie kobiecem"* J. A. Szczepańskiego.

W pierwszej części referatu prelegent scharakteryzował aktualną pozycję kobiety w taternictwie raczej ujemnie, przytaczając rozpowszechnione zarzuty, dotyczące wtórnych czynników psychicznych alpinizmu kobiecego, nieodpowiedzialność wysokogórską turystek, ich rolę balastu na wielu wyprawach itp.; w drugiej części natomiast, opierając się na spostrzeżeniach z ostatnich sezonów, dał wyraz przekonaniu, że istotnie samodzielne (bo tylko takie może mieć znaczenie) taternictwo kobiece rozwija się obecnie b. szybko.

Proces ten odbywa się równolegle do całego sportowego postępu kobiet. Kobieta — zdaniem p. Szczepańskiego — podchodzi do taternictwa z tych samych względów, co mężczyzna. Nie należy więc mówić o taternictwie kobiecem, lecz o roli kobiety w taternictwie.

W dyskusji okazało się, iż wśród obecnych przeważa pogląd sceptyczny na możliwości alpinistyczne kobiety. Kilku mówców dowodziło, iż sama istota taternictwa sprzeczna jest z prawdziwą kobie-

cością. Tak np. p. Marcinkowski wyraził pogląd, iż niewiasta z liną i czekanem traci swój urok (co jednak wywołało energiczny protest p. Zaremby), p. Zakrzewski oświadczył się przeciw emancypacji kobiet wogóle, a dr. A. Sokołowski dowodził naukowo, iż w prawdziwej walce o życie, na terenie wysokogórskim, niewiasta musi zawodzić, przedewszystkiem psychicznie.

Jako przedstawicielka taterniczek zabrała głos p. Krókowska, odmawiając taterniczkom motywu walki sportowej i tzw. nauki taternickiej, wywołała jednak wrażenie, iż siebie samą wyłącza z ogólnej reguły... Dyskusję zamknął prezes Sekcji, przytaczając szereg pierwszorzędnych czynów, dokonanych przez niewiasty w Alpach.

Dnia 2 marca br. zagaił S. K. Zaremba dyskusję na temat: *„Taternictwo: namiętność, czy fach?"*. Referent stwierdził istnienie w taternictwie dwu przeciwstawnych nieraz pierwiastków: namiętności i systematycznej umiejętności, którą — dla większej wyrazistości w polemice — nazwał fachowością. Teza, której bronił, była następująca: fach jest elementem par exellence dodatnim w taternictwie i należy mu podporządkowywać namiętność. Rezygnując z oparcia swych wywodów na podstawach głęboko etycznych, wyszedł z założenia, iż cechą wyższego typu człowieka jest celowość w działaniu. Wobec tego taternik musi w sposób arbitralny określać sobie cele, do których urzeczywistnienia dąży w miarę swoich sił. Cele te to: wyjście na szczyt lub przełęcz, przejście przełęczy, grani lub ściany. Rozpatrując zresztą rozwój taternictwa z historycznego punktu widzenia, spostrzegamy właśnie ewolucję od dyletanckich wędrówek — do celowej, systematycznej działalności współczesnego pokolenia, którego celem jest osiąganie maksymalnej sprawności. Ewolucja ta odbywa się równolegle z coraz wybitniejszą dążnością do uzyskiwania rekordów w dziedzinie sportu.

Jasną jest poza tem rzeczą, iż sądząc według kryterjów czysto taternickich, musimy przyznać pierwszeństwo taternikowi fachowemu, gdyż ten, działając celowo i konsekwentnie, osiągnie zawsze — ceteris paribus — lepsze wyniki, niż taternik, kierujący się w pierwszym rzędzie namiętnością.

W dyskusji prelegent miał niemal wszystkich obecnych przeciw sobie. Podstawy filozoficzne referatu (celowość, jako cecha wyższości rozwojowej) atakowali pp.: W. Sokołowski, J. Dorawski i dr. M. Sokołowski, twierdząc, iż namiętność i tylko namiętność może być źródłem taternictwa. Niektórzy zaś, jak p. Marcinkowski, zarzucali p. Zarembie brak poezji, na co jednak on zamykając dyskusję — odpowiedział, wyrażając przekonanie, iż prawdziwa poezja przyszłości, tj. poezja czynu, poezja energji, wciela się daleko bardziej w typ systematycznego, „fachowego" taternika, niż w typ romantycznego włóczęgi.

Dnia 20 kwietnia br., na zebraniu towarzyskiem, urządzonem wspólnie z Oddziałem Krakowskim P. T. T., wygłosił dr. R. Kordys odczyt z historji taternictwa, pt. „Tajemnica Dawida Frölicha". Treść tego odczytu podana jest na innem miejscu.

Notatki.

† **Edmund Ciąglewicz,** literat, znakomity tłumacz Arystofanesa, b. prof. gimn., jeden z najwybitniejszych ongiś taterników, zmarł w Krakowie 10 lipca br. Obszerniejsze wspomnienie pośmiertne zamieścimy w Nr. 5-ym „Taternika".

Sprostowania i uzupełnienia do „Nowych dróg w Tatrach w latach 1925—1927". Do zamieszczonego w I-szym numerze naszego pisma z br., zestawienia nowych wycieczek tatrzańskich za lata 1925—27, zakradło się kilka pomyłek, przeoczeń i opuszczeń, które niniejszem prostujemy, wzgl. uzupełniamy.

A. Sprostowania.

Wierch pod Fajki od wsch.: nie A. i J. A. Szczepańscy i S. K. Zaremba 22 lipca 1926 r., lecz M. Szczuka 21 czerwca 1925 r., w zejściu.

Mały Ganek. Uczestnikiem wyjścia na Galerję Gankową z Dol. Kaczej był, oprócz wymienionych w zestawieniu, także S. K. Zaremba.

Kozi Wierch. Warjant na pn. ścianie. Ma być: B. Czech, W. Dorazil, K. Schiele i dr. M. Swierz 11 września 1927 r.

Młynarz. Nowa droga od pn.-wsch. Ma być: A. Czermiński i J. A. Szczepański 7 czerwca 1927 r.

Zadnia Nowoleśna Turnia od pn.: nie H. Dębińska i J. A. Szczepański 22 sierpnia 1927 r., lecz Z. i dr. J. Krókowscy 11 sierpnia 1924 r.

B. Uzupełnienia.

Zamarła Turnia. Wyjście od pd.-wsch.: M. i S. Makowscy we wrześniu 1926 r.

Niżnie Rysy. Częściowo nowa droga pn.-zach. ścianą: dr. B. Pawłowski, dr. M. Sokołowski i K. Wallisch 26 sierpnia 1926 r.

Hruba Turnia. Wyjście od pd.: J. Franaszek, J. Jędrzejowski i W. Reymann w sierpniu 1927 r.

Śnieżny Szczyt. Częściowo nowe zejście ku pn.-wsch.: A. Ferens, Z. Mirtyński, R. Nałęcki i M. Świerz 13 i 14 sierpnia 1927 r.

„Tajemnica Dawida Frölicha". Taki tytuł nosił odczyt dra Romana Kordysa, wygłoszony 20 kwietnia br. w Krakowie (w Sekcji Taternickiej A. Z. S., wspólnie z Oddziałem Krakowskim P. T. T.) i 18 maja br. we Lwowie (na Ogólnem Zgromadzeniu Oddziału Lwowskiego P. T. T.). Prelegent zajął się zbadaniem powszechnie dziś obowiązującego przekonania, że Dawid Frölich, matematyk z Kiezmarku, był w 1615 r. na szczycie Łomnicy, wychodząc nań przez Niemiecką Drabinę. Przekonanie to, podzielane przez najlepszych znawców Tatr (dr. Otto, J. Chmielowski, T. Posewitz) opiera się: 1) na opisie, pozostawionym przez Frölicha i stwierdzonej rzekomo zgodności tegoż z terenem (dr. Otto, Gy. A. Hefty), 2) na opisie Węgierskiego Simplicissimusa, dowodzącym, że Łomnica była już w połowie XVII wieku szczytem często odwiedzanym, 3) na świadectwie J. Buchholza starszego, stwierdzającem, iż Frölich wyszedł na Łomnicę od Zielonego Stawu.

Dr. Kordys w przekonywujący sposób obala te wszystkie przesłanki, stwierdzając na podstawie sumiennej i drobiazgowej analizy tekstów źródłowych, że: 1) opis Frölicha w żadnym razie nie odnosi się do drogi na Łomnicę przez Niemiecką Drabinę, 2) że Węg. Simplicissimus nigdy nie był na Łomnicy, ale na Kiezmarskim Szczycie, wychodząc nań przez Rakuską i Huncowską Przełęcz, a schodząc granią północno-wschodnią i Kiezmarski Szczyt, a nie Łomnica, był „modnym" szczytem tatrzańskim w XVII stuleciu, 3) że dotychczasowa interpretacja świadectwa Buchholza starszego jest mylna.

W rezultacie wypowiada prelegent przekonanie, że Frölich był na Kiezmarskim Szczycie. Łomnica, zdaniem dra Kordysa, została zwiedzona po raz pierwszy ok. 1780 r.. przez poszukiwaczy skarbów, od Miedzianej Ławki. Pierwszym znanym turystą na Łomnicy był Robert Townson, w 1793 r.

Rewelacyjny charakter odczytu dra Kordysa, obalającego najbardziej, zdawałoby się, ugruntowane dogmaty z historji taternictwa, wywołał w gronie słuchaczy zrozumiałe zainteresowanie. O ile nam wiadomo, odczyt powyższy był streszczeniem przygotowanej przez dra Kordysa, obszerniejszej pracy historycznej, którą radzibyśmy rychło ujrzeć w druku.

Wypadek prof. Grósza. Prof. Alfred Grósz, najznakomitszy spiski taternik, znany przyjaciel Polaków, uległ w kwietniu br. ciężkiemu wypadkowi automobilowemu. Wiozący go samochód stoczył się z kilkumetrowego urwiska brzeżnego do Dunajca i przygniótł prof. Grósza swym ciężarem, skutkiem czego doznał prof. Grósz licznych i poważnych obrażeń. Rychłego powrotu do zdrowia — i do gór — życzy najserdeczniej prof. Groszowi zarówno nasze pismo, jak i cały światek taternicki.

Zdobycie Illampu. Z pośród licznie w bieżącym roku organizowanych ekspedycyj alpinistycznych w góry pozaeuropejskie, jedna może się już wykazać osiągnięciem swego głównego zamierzenia. Jest to wyprawa, inicjowana i finansowana przez Niemiecki i Austrjacki Związek Alpejski, w której skład wchodzą najlepsi alpiniści austrjaccy młodego pokolenia: E. Hein z Gracu, H. Hörtnagl z Innsbrucku oraz A. Horeschowsky z Wiednia, a nad którą kierownictwo objął sławny „wilk" górski, inż. Hans Pfann z Monachjum. Celem ekspedycji było w pierwszej linji zdobycie szczytu Illampu w Andach boliwjańskich, co też powiodło się jej w zupełności. Illampu (ok. 6500 m) stanowi drugą zrzędu co do wysokości — po Ankohumie (6600 m) — wyniosłość grupy Andów soratańskich (nazwa od miasta, leżącego u jej podnóża), nasuwa jednak większe trudności techniczne, aniżeli wspomniany, w r. 1919 przez niemieckich alpinistów: Dienst'la i Schulze'go zdobyty, najwyższy szczyt owej grupy. W ostatnich czasach szturmowali Illampu (kilkakrotnie) amerykańscy i angielscy alpiniści, dopiero wszakże ekspedycji Związku Alpejskiego udało się odnieść zwycięstwo nad górą.

Czekan „akademicki". Nazwę tę („Akademiker-Pickel") nosi nowy i — jak to zgóry przyznać trzeba — znakomity, piękny i tani model czekana (typu szwajcarskiego), wyrabiany odniedawna przez jednego z pierwszorzędnych kowali tyrolskich, według projektu i wskazówek, oraz pod stałym nadzorem Wiedeńskiej Akademickiej Sekcji Niemieckiego i Austrjackiego Związku Alpejskiego (D. u. Ö. A.V.); co 25-ty egzemplarz polega ponadto należytej próbie, dokonywanej w politechnice wiedeńkiej, przez słuchaczów tejże, członków wzmiankowanej wyżej Sekcji. Wyrabiany jest w 3-ch wielkościach, jako: duży (A), średni (B) i mały (C).

Wymiary i waga jego wahają się w następujących granicach:

Długość dzióba 17—19 *cm.*
Długość łopatki 10,5—12 *cm.*
Szerokość łopatki 6—6,5 *cm.*
Długość styliska 90—105 *cm.*
Waga czekana 0,9—1,2 *kg.*

Skład główny w firmie: Mizzi Langer-Kauba, Wiedeń, VII, Kaiserstr. 15. Cena 15 szyl. austr.

Z piśmiennictwa.

Wierchy. Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie. Organ Polsk. Tow. Tatrzańskiego, wydawany przez Zarząd Główny łącznie z Oddziałem Lwowskim Towarzystwa. Rok czwarty. Str. IV + 230. Księgarnia wydawnicza H. Altenberga we Lwowie, 1926.

W zmniejszonej — w stosunku do poprzedniego rocznika — objętości, lecz na lepszym papierze i z przejrzystszemi w tekście ilustracjami, pojawił się czwarty zrzędu tom „Wierchów“ (za r. 1926) zredagowany, jak i dotychczasowe roczniki, przez specjalny komitet, pod kierownictwem prof. dra J. Gw. Pawlikowskiego.

Podobnie, jak w omówieniu trzech dawniejszych roczników „Wierchów“ (p. „Taternik“ z 1 września 1925 r., str. 30), tak i w recenzji będącego w mowie tomu, uwzględniamy, z uwagi na charakter naszego pisma, jedynie tylko artykuły, treścią swą z Tatrami, taternictwem lub turystyką wysokogórską związane.

Rocznik otwiera szkic J. Gw. Pawlikowskiego: „Janowi Kasprowiczowi na pożegnanie“, dający głęboko ujętą analizę stosunku autora „Księgi ubogich“ do Tatr i odzwierciedleń się tego stosunku w jego twórczości. Warto podkreślić, że świetny komentator mistycznych utworów Słowackiego przemawia w tym szkicu nie jako historyk literatury, lecz imieniem „braci taternickiej“ i od „rzeczy wielkiej a niemej, a w niemocie swojej najwymowniejszej“ — od wierchów tatrzańskich. Następuje studjum M. Świerza: „Stanisław Staszic w Tatrach“, będące skrótem rozprawy, przeznaczonej dla „Księgi Jubileuszowej“, jaka ku uczczeniu 100-nej rocznicy śmierci autora „Ziemiorodztwa“ ukazała się w Lublinie. (Ważne to studjum omówione jest osobno na str. 54—61. *Red.*)

W artykule: „Na lodowcu tatrzańskim“ opisuje A. Gadomski wycieczkę do Dol. Dzikiej, której wynikiem było rzucenie dość sensacyjnie brzmiącego twierdzenia, że w żlebie pomiędzy ścianami Łomnicy i Durnego Szczytu znajduje się prawdziwy lodowiec. Nie leży w naszej kompetencji rozpatrywanie tezy, czy Tatry wykazują i dzisiaj małe lodowce — roztrzygnięcie tego problemu zależy bowiem, naszem zdaniem, przedewszystkiem od ścisłego sprecyzowania definicji lodowca — musimy jednak stwierdzić tutaj, że redakcja rocznika przepuściła w artykule szereg fałszywych, obcych polskiemu imiennictwu, nazw topograficznych („dolina Miedzianej Ławki“, „Mały Czarny Szczyt“, „przełęcz Chmielowskiego“ itp.) oraz błędnych kot wysokości (Kiezmarski Szczyt ma 2 różne koty, a obie niezgodne z rzeczywistością). O „Stosunkach własności w Tatrach“ pisze M. A. Liberak. J. A. Szczepański daje w artykule: „Szlakiem burz i śmierci“ impresję wycieczki, odbytej w towarzystwie R. Wasserbergera, który znalazł podówczas śmierć — w zamieci pod Lodową Przełęczą — wraz z prok. Kasznicą i jego synem. Rzecz, pisana z pewnym talentem i temperamentem literackim, niepotrzebnie tylko doczepił do niej autor rozważania na temat przyczyn śmierci Kaszniców i swego towarzysza, w których polemizuje ze wszystkimi, sam zaś żadnego nie wskazuje rozwiązania. Setną rocznicę śmierci autora „Marji“ przypomina rocznik przedrukiem polskiego przekładu listu A. Malczewskiego do prof. Pictet'a o wyjściu na Aiguille du Midi i wierzchołek Mont Blanc. Uwagi wstępne do listu nie doceniają trochę znaczenia wyprawy Malczewskiego dla dziejów polskiej turystyki wysokogórskiej. W tłumaczeniu (pióra J. Narzymskiej, lecz poprawionem przez redakcję) niewłaściwie podano spolszczenia nazw topograficznych: „Południowa Iglica“ i „Wąwóz Olbrzyma“ (Col du Géant — to słynna przełęcz, a nie żaden wąwóz). Dział tatrzański uzupełniają: artykuł botaniczny prof. Szafera: „Tajemnica jednego kwiatu“ i blade poezje Kazimiery Alberti. W obfitej, niemal połowę rocznika wypełniającej, kronice znajdujemy wiele materjalu taternickiego i alpinistycznego, wśród którego na podniesienie zasługuje szczególnie omówienie przez prof. J. Gw. Pawlikowskiego współczesnych prądów w alpinizmie niemieckim i wspomnienie pośmiertne prof. A. Chybińskiego o śp. Bartusiu Obrochcie.

Mimo drobnych zastrzeżeń, które powyżej poczynić musieliśmy, czwarty zrzędu rocznik „Wierchów“ przedstawia godną kontynuację swych poprzedników i świadczy o celowych, przemyślanych, skoordynowanych i wytężających wysiłkach redakcji, zwłaszcza zaś jej przewodniczącego, by wydawnictwo stało się jak najżywszem echem prądów współczesności i by zagadnienia, związane z górami polskiemi i ich ludem, jak najwszechstronniej oświetlało. *M. S.*

Wierchy. Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie. Organ Polsk. Tow. Tatrzańskiego, wydawany przez Zarząd Główny łącznie z Oddziałem Lwowskim Towarzystwa. Rok piąty. Str. IV + 230. Nakładem Polsk. Tow. Tatrz. Kraków, 1927.

Rocznik piąty „Wierchów“ dedykowało Polsk. Tow. Tatrzańskie — Władysławowi Orkanowi, w związku z jubileuszem 30-lecia jego twórczej pracy pisarskiej, Gorcom i ludowi Podhala poświęconej. Relacje taternickie przynoszą w tomie dwa artykuły. Jeden, pt. „Porażka“, pióra M. Soko-

łowskiego — to plastyczny, żywy i interesujący opis upornych i groźnych zmagań się z przewieszonemi cieśniami żlebu, spadającego z Koziej Przełęczy Wyżniej ku północy, zmagań, zakończonych koniecznością trudnego i niebezpiecznego odwrotu. Że tematem taternickiego artykułu opisowego może być nietylko zwycięstwo, ale i honorna klęska w górach — nie ulega dla nas żadnemu wątpieniu. Wątpliwości budzą się dopiero, gdy na temat taki spojrzymy z punktu widzenia propagandystycznego, z jakiego oceniać należy przedewszystkiem artykuły w popularnem, dla szerokiego ogółu przeznaczonem, wydawnictwie. Z tego stanowiska opis próby, w której dwu uczestników odpadło od skał i doznało potłuczeń — naszem zdaniem — nie nazbyt nadawał się właśnie do „Wierchów" i dr. Sokołowski byłby znalazł w swym bogatym dorobku tatrzańskim niejedno przeżycie, które nasuwałoby mniej sposobności do atakowania taternictwa ze strony niezdolnych do wżycia się w naszą pasję skalną — czytelników rocznika. Drugi artykuł taternicki — to krótkie wspomnienie M. Świerza o wycieczce ze swym ojcem na Krzyżne, z przed 25 lat, kiedy to jedno pokolenie taternickie żegnało się już z cudem Tatr, a drugie dopiero wstępowało w ich skalne zawory. Przyczynkiem do dziejów narciarstwa w Tatrach jest artykuł prof. Jana Rostafińskiego, pod nieco rażącym tytułem: „N a K l i m k o w y c h w i r s t l a c h". Wiersz „M a l l o r y" nie powinien był ukazać się w roczniku. Artykuły przyrodnicze o Tatrach reprezentowane są przez prof. Józefa Rostafińskiego: „O c z e r w o n y m i ż ó ł t y m ś n i e g u w T a t r a c h", dra M. Sokołowskiego: „W i a t r y w T a t r a c h", K. Sosnowskiego: „W o d o s p a d S k o ś n y n a d M o r s k i e m O k i e m" i M. A. Liberaka: „G ó r n i c t w o i h u t n i c t w o w T a t r a c h P o l s k i c h". Artykuł B. Romaniszyna: „R y b o ł ó s t w o s p o r t o w e" odsłania — poza samym, tak mało znanym, sportem wędkarskim — również poezję rzek tatrzańskich i ich nadbrzeży. Rocznik uzupełnia — jak zwykle — bogata, urozmaicona i różnorodna kronika, przynosząca między innemi artykulik M. Świerza o Piusie XI-ym, jako alpiniście, oraz zwięzły lecz wcale dobrze przez M. Sokołowskiego skreślony, nekrolog śp. M. Szczuki.

Strona ilustracyjna rocznika przedstawia się korzystnie, pragnęlibyśmy jednak — jeżeli chodzi o Tatry — aby reprodukowano w nim nie znane już powszechnie fragmenty widokowe, lecz zdjęcia z rzadko zwiedzanych i fotografowanych zakątków, szczytów czy turni tatrzańskich.

Cena rocznika, wydanego tym razem już wyłącznie nakładem Polsk. Tow. Tatrzańskiego, jest bardzo niska i dlatego książka winna znaleźć się w rękach każdego przyjaciela gór. *M. Ś.*

Die Hohe Tatra *von Dr. A. Otto.* Griebens Reiseführer. Band 47. X. Auflage. Berlin 1925. Najnowsze wydanie dziełka dra Otto nie różni się niemal niczem — jeżeli chodzi o część wysokogórską — od omówionego przez Romana Kordysa w numerze 2-gim „Taternika" z 1914 r., IX-go wydania tej książki, co zwalnia nas od obowiązku zajmowania się tu bliżej jej treścią ściśle taternicką. Zaznaczyć natomiast należy, że cały dział ogólno-informacyjny podręcznika poddany został przez autora gruntownej rewizji i przystosowany jest najzupełniej do panujących obecnie po południowej stronie Tatr stosunków. Dla szerszych kół turystycznych jest to dziś niewątpliwie najodpowiedniejszy z pośród niemieckich przewodników po Tatrach. Cena książki dość wysoka (6 mk). *Z. I.*

Jaroslav Vsetecka. P r u v o d c e p o V y s o k y c h T a t r a c h. III Vydani. 1925. Krótki, dla najszerszego ogółu czeskich zwiedzaczy południowej strony Tatr przeznaczony, przewodniczek, informujący zwięźle, lecz — naogół — bez zarzutu, o dojazdach do Tatr, uzdrowiskach u ich stóp, dolinach, oraz tych przełęczach i szczytach, na które prowadzą znaczone perci. Wycieczki w Tatry ugrupował autor według popularnego w tego rodzaju przewodnikach systemu, polegającego na obiorze za punkt wyjścia — poszczególnych stacyj turystycznych u podnóża Tatr. Ujęcie tematu ściśle przedmiotowe, bez tak rażących u Janoski politycznych dygresyj i eksklamacyj. *m.*

J. Vsetecka. D i e H o h e T a t r a. Reiseführer. 1924. Jest to poczęści przeróbka, w przeważnej jednak mierze przekład czeskiej broszury tegoż autora, mający na celu dostarczenie odpowiednich informacyj obcym przyjezdnym. Druk, papier i ilustracje znacznie lepsze, aniżeli w wydawnictwie czeskiem. *m.*

Drukarnia A. Gojawiczyńskiego we Lwowie, ul. Kopernika 20. — Tel. 28-18

Redaktor nacz. i odpow.: dr. Mieczysław Świerz Wydawca: Sekcja Turyst. Polsk. Tow. Tatrzańskiego